WARSZAWA KRAKÓW LWÓW POZNAŃ

BLUSZCZ

№ 36. ROK WYDAWNICTWA LIII. Dnia 7 Września 1918 r.

PRENUMERATA W WARSZAWIE:
Miesięcznie: Mk. 2.75, kwartalnie: Mk. 8.25, półrocznie: Mk. 16.50, rocznie: Mk. 33.

CENA OGŁOSZEŃ: za wiersz 1-o szpaltowy nonparelowy lub jego miejsce „za tekstem": Mk. 1.90; ogłoszenia zwycz. 80 f. „Nadesłane" Mk. 3.50, margines Mk. 22.50. Kolumna Mk. 450. Załączniki Mk. 50 za tys.

CENA NUMERU POJEDYŃCZEGO . . . Fen. 85.

PISMO TYGODNIOWE ILUSTROWANE
POŚWIĘCONE SPRAWOM KOBIECYM
Pod redakcyą ZOFII SEIDLEROWEJ

Ekspedycya główna: Nowy-Świat 41.
Drobnych rękopisów nie zwraca się. — Tel. Red. 105-22. Tel. Adm. 220-86.

Prenumerata na prowincyi, w Austryi, Galicyi, w Rzeszy Niemieckiej i W. Ks. Poznańskiem:
Rocznie: Mk. 38, półrocznie: Mk. 19, kwartalnie Mk. 9.50.
W Lublinie „Bluszcz" w biurze dzienników „REKORD" — Kapucyńska 2.
W Krakowie u W-go D. E. Friedleina—Rynek 17 i Zastępstwo ul. Retoryka I.
We Lwowie — w biurze dzienników W-go Henryka Buchstaba — ul. Karola Ludwika 21.

JULJA KISIELEWSKA (J. OKSZA).

CHEŁMSZCZYZNA.

Unja a Schyzma. Męczennicy a Hajdamacy.

8)

Już to coprawda mamy szczęście, że solidarność większości przychodzi nam otrzymywać zwykle na tle jaknajmniej racjonalnych uprzedzeń. Dyssydenci polscy, widząc się tak znienawidzonymi we własnym kraju — dali się ułowić w pułapkę, zawiązali w Toruniu i Słucku konfederację, w imieniu której Krasiński i Golcz, a gdy innego schyzmatyka znaleźć nie było można, sam Koniski—udali się pod opiekę Katarzyny. Tu był cały węzeł zabiegów, nad którymi czuwał przebiegły Repnin. Szlachtę ujął i omanił perspektywą detronizacji króla i sprowadzenia z banicji uwielbianego księcia Panie Kochanku. — Króla nastraszył opozycją—a gdy wszystkich miał w matni, zaciągnął sznury i na konfederacji radomskiej postawił kategorycznie i rozkazująco żądanie, mając bagnety na ich poparcie. Gotowała się bardzo gorąca i powszechna opozycja—gdyż teraz już wchodził w grę zdeptany honor narodowy: niestety jednak ci sami ludzie, co teraz o ten honor okazali się tak dbali, dopiero co intrygowali w najlepsze z Repninem i Katarzyną — na własnego króla i rząd, a wcale sobie tego nie poczytywali za hańbę. Repnin przejrzał wszystko na wylot — i umyślił większość sejmową sterroryzować za pomocą zuchwałego gwałtu, a jeżeli by ten gwałt wywołał zbrojne powstanie — tem lepiej — to dostarczy pretekstu do wprowadzenia znacznych sił rosyjskich do kraju i zgniecenia siłą. Wywiezienie nocą z Warszawy czterech znakomitych senatorów: biskupów Sołtyka i Załuskiego, oraz hetmana Wacława Rzewuskiego z synem Sewerynem—z pośrodka zgromadzonych stanów — w niezależnem państwie — sprawiło wrażenie piorunujące i jak obliczył sobie Repnin paraliżujące wszelki odruch odwetu i zemsty. Król stchórzył — senatorowie zmiękli — wybrano delegację do ułożenia punktów o równouprawnienie dyssydentów. Teraz dopiero stała się rzecz hańbiąca imię Polskie — przemocą steroryzowano naród do przyjęcia ustawy, której nienawidził i nie chciał.

Nastąpił żywiołowy, szlachetny ruch wśród tej zacnej części narodu, która choć głupio rozumowała, ale zato po prostu i uczciwie czuła. Przy wierze katolickiej, przy obronie całości i niezależności kraju zawiązała się Konfederacja Barska, ten wybuch religijnej i gorącej miłości Ojczyzny, honoru narodowego, partyzanckiej dzielności, wielkiego bohaterstwa — i warcholskiej, naiwnej, niezdarnej polityki!

I wtedy to przychodzi do najokropniejszej klęski, jaką poniosła nieszczęśliwa unja, zawsze wystawiona na najpierwsze ciosy, na najokrutniejsze znęcania ohydnej hajdamacczyzny. Oto co dla zatamowania Konfederacji Barskiej wymyśliła Schyzma moskiewska. W klasztorze motronińskim archimandryta Melchizdek Jaworski święcił noże na wojnę świętą — nad zgrajami hajdamaków, — które z dzierżaw należących do Moskwy wtargnęły na polską Ukrainę i Podole — objął dowództwo straszny Żeleźniak. Dworski kozak Potockich — Gonta, porozumiał się z braćmi schyzmatykami i zdradził Humań, którego miał bronić. A właśnie w tych stronach cudnie zakwitło życie religijne pod wpływem unji Bazyljanów, wśród których ksiądz Kostecki odznaczał się duchem apostolskim i świętością swego życia porywał lud i prowadził ku Bogu. I on to biedak, w chwili, gdy już mordercy wdarli się do miasteczka i zaczęli swą ohydną robotę, został w klasztorze wraz z 5 Bazyljanami dla słuchania spowiedzi, opatrywania rannych, dysponowania konających. Gdy cały klasztor był pełny, bo lud uciekał ścigany do kościoła, ks. Kostecki wszedł na ambonę ze słowami pociechy i błogosławieństwa w chwili śmierci. Dopadli go kozacy, ściągnęli i zakłuli spisami.

Szesnaście tysięcy bezbronnego ludu — wyginęło w Humaniu — na całej Ukrainie blizko 200 tysięcy — szlachty katolickiej, ludu unickiego i żydów. Był to dla Unji cios tem straszniejszy, że w ślad za kozactwem przybył Jaworski i zagarnął dla schyzmy kilkadziesiąt parafji.

Gdy po kilku latach upartej partyzantki Konfederacja Barska zgnieciona straciła ostatnie swe twierdze Częstochowę i Lanckoronę, nastąpił pierwszy rozbiór Polski, w którym Rosja zagarnęła Białoruś — a więc oprócz schyzmatyckiego biskupstwa mohylewskiego, także dwa unickie: połockie i smoleńskie. Chociaż Smoleńsk był już dawno w posiadaniu Rosji istniało w Polsce biskupstwo smoleńskie katolickie i unickie.

Do Austrji odpadły djecezje: lwowska i przemyska. W obrębie Rzeczpospolitej pozostały: łucka, włodzimierska, pińska i chełmska. Nim się jeszcze pierwszy rozbiór dokonał, popi schyzmatyccy na Ukrainie pod osłoną wojsk carowej zagarnęli kilkaset cerkwi unickich, niektórych pro-

boszczów pozabijano, inni uciekli, kilkudziesięciu trzymano w okropnych warunkach w więzieniu w Berdyczowie, Białocerkwi i Humaniu.

Po przeniesieniu się Koniskiego wraz z władyctwem mohylewskiem w granice Rosji, wysłała Katarzyna do Warszawy inną kreaturę swoją — Wiktora Sadkowskiego, jako kapelana przy ambasadzie — celem propagandy schyzmatyckiej—i szpiegowania. Synod petersburski zaczął teraz rządzić zupełnie samowolnie schyzmatykami pozostałymi w Polsce t. j. zwłaszcza na Ukrainie—jak w kraju podbitym. Sadkowskiego osadził samowolnie jako archimandrytę w Słucku, a wreszcie ukazem carycy z 1785 r. stworzył dla niego osobne biskupstwo schyzmatyckie w Polsce. Był to już szczyt zdeptania praw międzynarodowych. Stanisław August oparł się uznaniu Sadkowskiego, żądając od niego złożenia przysięgi — sprawę zwlekał — ale nie mógł wobec zależności od Katarzyny stanowczo zabronić tworzenia biskupstwa. Polska w tym czasie jednak zrobiła tak wielkie postępy w politycznem rozumieniu rzeczy, oraz na wszystkich polach pracy kulturalnej i społecznej, że przyszedł niebawem moment, kiedy zdołała zabłysnąć jeszcze w całym majestacie ocalonej godności narodowej i naprawić stare błędy za pomocą rozumu i poczucia racji stanu, jaka się w narodzie zbudziła.

Sejm czteroletni zawiązany pod laską konfederacji zrazu dla stworzenia armji, celem posiłkowania Rosji w wojnie z Turcją—nietylko uchwalił podniesienie armji do 100 tysięcy, ale zrzucił haniebną gwarancję Katarzyny, zniósł Radę nieustającą i przygotowywał się do wojny z Rosją — w przymierzu z Prusami, a także w porozumieniu z Anglją i Szwecją.

(D. c. n.).

Organizacya przemysłu kobiecego.

(Referat wygłoszony na Zjeździe przemysłowców w Krakowie).

Mając rozpatrywać kwestyę naszego drobnego przemysłu kobiecego pozwolę sobie najpierw zwrócić uwagę na ogólne korzyści, płynące z wyuczenia się jakiegokolwiek rękodzieła. Zastosowanie wyrobów ręcznych jako środka wychowawczego datuje się u nas od lat zaledwie kilku. Dzięki nadzwyczaj doniosłym wynikom, jakie w wychowaniu intelektualnem i fizycznem dziatwy wykazało, krótki ów przeciąg czasu wystarczył, aby próby te rozprzestrzeniały się coraz bardziej. U nas dotychczas wyroby ręczne, pojęte jako czynnik wychowawczy, były lekceważone. Tradycyjna niechęć do robót ręcznych, do pracy przy warsztacie, stanowiła główną tego przyczynę. W Szwecji n. p. ludzie zajmujący wysokie stanowiska i urzędy szczycą się pracami rękodzielniczemi osobiście za lat młodych w szkole wykonanemi. U nas zaś jedyną chlubą, jedynem wspomnieniem szkoły jest książka lub zeszyt zapisany. Dlatego dziwnem by się nam wydawało, gdybyśmy w gmachach szkolnych i gabinetach prywatnych, obok szaf bibliotecznych, zobaczyli ustawione warsztaty rękodzieł.

Celem robót ręcznych poza ich znaczeniem wychowawczem, hygienicznem i społecznem jest przedewszystkiem rozbudzenie zamiłowania do pracy wogóle, tego niewyczerpanego źródła szczęścia i pomyślności, oraz przygotowanie człowieka do życia praktycznego, do stawiania czoła trudnościom, jakie nas w życiu na każdym niemal kroku spotykają, do umiejętnego radzenia sobie w nieszczęśliwych okolicznościach.

Znaczna większość naszego żebractwa rekrutuje się z ludzi nie umiejących pracować. Roboty ręczne to kowadło, na którem przerabiają się ludzie niezdolni i niezgrabni na zręcznych do pracy. Roboty ręczne nie są wyłącznie robotą mechaniczną; jest to najmłodszy przedmiot naukowy, zajmujący dzisiaj nietylko umysły pedagogów, lekarzy i hygienistów, lecz i szersze warstwy społeczeństwa. Z radością witamy wszyscy projekt, który ma zmienić naszą szkołę z przestarzałymi planami, tak mało dającą nam realnych korzyści później, na szkołę pracy i czynu. Nietylko my, ale i inne narody, szukając nowych dróg, gorliwie zajmują się tą kwestyą. Ażeby z pracy osiągnąć należyty pożytek, trzeba ją ściśle przystosować do wieku i do stopnia umysłowego rozwoju danego osobnika. Naturalnie, że gdyby człowiek od małego dziecka był już wciągnięty w pracę, wyroby jego późniejsze byłyby lepsze. A wiemy z doświadczenia, jak chętnie garną się małe dzieci do naśladowania starszych w ich zajęciach i władaniu narzędziami. Nic dziwnego; skłaniają je bowiem do tego potrzeby organizmu, wymagającego czynności i ruchu. Nożyczki z zaokrąglonymi końcami, to pierwsze narzędzie, jakie powinniśmy dać dziecku do ręki. Niech wycina robótki z papieru. Źle robią ci, którzy tamują te pierwsze dążności, odmawiając dzieciom najprzyjemniejszych dla nich zajęć. Gdybyśmy wyzyskali te chęci i podsuwali dzieciom w porę odpowiednie robótki, przechodząc od najłatwiejszych do coraz trudniejszych, wdrożylibyśmy ich do ciągłego zajęcia do tego stopnia, że praca w przyszłości stałaby się dla nich koniecznością, ich potrzebą i nierozdzielną towarzyszką. Posiedlibyśmy wtedy wielki sekret wychowania i znikłyby utyskiwania i żale na lenistwo i niechęć dzieci do nauki i pracy wogóle. Za wiele zostawiamy dzieciom czasu do zabawy, często cały wiek przedszkolny, 6 lat, spędzają tylko na zabawie, a próżnowanie zapuszcza w nich silne korzenie. Tak mało jeszcze u nas ochronek i froeblówek, a gdzie one są, tam panuje w nich przepełnienie.

Najpierwsze zajęcia, jak składanie lub wycinanie papieru, wygniatanie z gliny lub plasteliny przedmiotów, umiejętnie pokierowane, jest tem samem dla małych dzieci, czem są doświadczenia fizyczne lub prace mechaniczne dla starszych. Ile chęci, pracy, życia wkładają one w swe zajęcia początkowe, wiedzą ci, którzy ich przy tej pracy obserwują. Jest to więc przekonywującym dowodem, że zajęcia ręczne odpowiadają naturze dzieci. Zresztą początkowe takie prace, jak wycinanki, wyszywanki, rysunki i wygniatanie rozmaitych przedmiotów są podwaliną do dokładnego wykształcenia dotyku, wzroku i pomysłowości. Złożyć dokładnie w jakiejkolwiek początkowej robocie bok na boku, kąt na kącie, lub przeciąć po linji prostej, nie jest to tak bardzo łatwo. Do tego potrzebne są wyćwiczone palce, wyrobione oko. Wobec tak ważnych czynników wychowawczych, jakie się kryją w robotach ręcznych, nie wolno nam ich lekceważyć. Starać się przeto powinniśmy, by dziatwa nasza, czy to w mieście, czy na wsi, zajęła się jakimikolwiek wyrobami. Czas na to znajdą, bo ileż to godzin trawi nasza młodzież bezczynnie, pilnując naprzykład bydła na wsi, lub w dnie słotne i w czasie zimowym w domu. W domach, gdzie panuje rozkład pracy podług zegarka, znajdzie się choć godzinka, dwie codziennie na roboty ręczne. Powie ktoś może, że praca ręczna daje bardzo mały zarobek. To prawda, ale tylko dlatego, że praca nasza jest jeszcze bardzo powolna i nieudolna. U nas kobiety uczą się robót ręcznych dopiero na starość, a w najlepszym razie po ukończeniu wszystkich szkół. I one temu nie są winne, bo powiadamy, że szkoła ludowa i wydziałowa ma kształcić ogólnie, a po ukończeniu ich można się uczyć dopiero robót ręcznych gruntownie. Zupełnie przeciwnie jak np. w Czechach. Tam uczennica od lat 6, a według nowego rozporządzenia od lat 8 do 14-tu musi uczęszczać równocześnie i do szkoły ludowej i na naukę koronkarstwa. Po ukończeniu zaś 14 roku życia, nie wolno jej już przyjąć do szkoły koronkarskiej jako uczennicy; może ona zostać tylko robotnicą.

Potrzeba lata całe od dziecka pracować stopniowo w jednym kierunku, by dojść do artyzmu, a co najważniejsza do ogromnej chyżości. Weźmy za przykład Czechy i Szwajcarję. Przekupki i pastuszki czeskie życie całe od wczesnych lat robią tylko jeden wzór klockowej koronki. Robią go już prawie na pamięć, w każdej wolnej chwili, a przecież sprzedają te swoje wyroby bajecznie tanio i mimo tego są bogate, bo nigdy nie próżnują, a ziarnko do ziarnka, zbierze się miarka.

W Szwajcaryi fabryki np. zegarków same mało co wyrabiają, tylko składają poszczególne części w całość. Szczegóły zaś robi się w okolicznych wioskach. — Jedna wieś wyrabia same sprężynki, druga same kółka i przez to dochodzą wszyscy do ogromnej dokładności i chyżości w robocie. Nasze uczennice trzeba koniecznie zachęcać do cierpliwości i wytrwałości w pracy. Dam przykład z mojej szkoły. Trzy lata temu gdy objęłam kierownictwo szkoły koronkarskiej w Zakopanem, żadna robotnica nie chciała robić koronki więcej niż 2—3 metry z jednego wzoru, bo się jej już nudziło. Dzisiaj te same robotnice najspokojniej oddają mi po 10 m. wstawki jednego wzoru. Przemówiłam im do serca i do ambicji, dając za przykład

Czeszki i Niemki, które zmartwiłyby się gdyby dostały zamówienie na kilka metrów. One robią odrazu po 50 metrów. A nasze żydóweczki w Galicji; tysiące ich robiło przez ostatnie 10 lat przed wojną szczegóły koronek irlandzkich, ciągle te same wzorki dla Wiednia, który im płacił po 6—8—10 hal. za motyw. Handel tymi koronkami mieli żydzi bardzo dobrze zorganizowany i tysiące zarobili na nich. W każdem mieście powiatowem mieli pośredniczkę, która z miasteczek i okolicznych wsi zbierała koronki, pouczała w razie potrzeby i wypłacała robociznę. Ajent znów z Wiednia przywoził pieniądze i nowe zamówienia, a odbierał od pośredniczek wyroby. W ostatnich czasach Szwajcarya zasypywała nas haftami białymi ręcznymi i maszynowymi.

A u nas smutno patrzeć; pierwsze kroki stawiamy na polu organizacji drobnego przemysłu kobiecego. Panny nasze ukończywszy szkoły, przeważnie nie umieją igły wziąć do ręki, a studentom ciężko wybrać się na godzinę do warsztatów po południu. Roboty ręczne zanikły poprostu w szkołach naszych. W ostatnich latach upraszczano coraz bardziej plany robót, aż zeszliśmy do zera. A przecież był czas 20 lat temu z górą, za śp. inspektorów Baranowskich, gdy w szkołach roboty ręczne stały wysoko. Były nawet po szkołach specyalistki robót ręcznych. Teraz potrzeba było aż wojny i tułaczki po świecie, abyśmy się przekonali, że gdzieindziej roboty ręczne przysparzają domom ładne dochody i w domach wygląda inaczej, znać rękę kobiecą w urządzeniu. Nie wstydzą się tej ręcznej pracy dla zarobku i nie nudzą się przy niej nawet ludzie dobrze sytuowani.

Są jednak i u nas jednostki, które już od kilku lat przed wojną pracują nad rozwojem przemysłu kobiecego, a dziś widzą już owoce swej pracy. Teraz wszyscy zabieramy się gorączkowo do organizacyi. Podzięka należy się pismom, które wspaniałymi artykułami nawołują do tworzenia Spółek i do pracy w nich.

Zakopane. *Marya Dudrewiczowa.*

(D. c. n.).

O Teatr Ludowy.

III.

W Warszawie, w chwili obecnej, istnieją trzy teatry, przeznaczone dla szerokich warstw ludności naszej stolicy. Mianowicie: Teatr na Pradze (Popularny), przy ul. Chłodnej (Powszechny) i przy ul. Śniadeckich (im. Staszica). Mając najwyższe uznanie i oceniając dobre chęci kierowników tych scen, stwierdzić musimy, iż tak pod względem doboru sztuk, jak i wystawy teatry te kształcąco na publiczność działać nie mogą. U nas wciąż jeszcze aktualny jest pogląd, iż istnieje sztuka dla publiczności z dzielnic miasta zamożnych i sztuka dla ludności pod względem środków pieniężnych upośledzonej. Tamtej, odpowiednio do wysokiej zapłaty daje się widowiska w sosie „literackim“ i mile działające na nas „nervus artisticus“, tej— na margarynie, „ersatz“—widowiska. Przeważnie owe przedstawienia „ludowe“ odbywają się w salach ciasnych, źle oświetlonych, pozostających w sprzeczności z wymaganiami hygieny i estetyki i obliczonych na słabą wrażliwość artystyczną tłumu.

Dekoracye przeważnie stare, zniszczone, niekiedy przypominające poprostu brudne szmaty, urządzenie zakulisowe prymitywne, niewygodne, rekwizyty najgorszego gatunku, siły aktorskie niewyszkolone, zgromadzone bez żadnego wyboru, brak dobrego reżysera — oto w ogólnych zarysach stan teatrów ludowych w Warszawie, mających oświecać tłumy i rozwijać ich smak artystyczny.

Teatr Ludowy (obecnie Popularny) na Pradze pozostaje pod kierownictwem p. Tadeusza Kończyca, utalentowanego poety i krytyka, pracującego dla tego teatru od kilku lat bezinteresownie i zmuszonego z jednej strony walczyć z brakiem dostatecznych środków pieniężnych, z drugiej— z indyferentyzmem zarządu miasta względem potrzeb duchowych szerokich warstw ludności. W początkach okupacji niemieckiej nad tym teatrem roztoczył opiekę Praski Komitet Obywatelski i powołał do życia specjalną Komisję teatralną, która miała zająć się wznowieniem przedstawień. Kierownictwo literackie powierzono Komisyi literacko-artystycznej w osobach pp. T. Kończyca, M. Rulikowskiego i L. Reinschmidta i teatr uruchomiono w lutym r. 1916. Same tylko jednak wpływy z biletów nie wystarczały, aby teatr mógł się pomyślnie rozwijać i po pewnym czasie impreza zaczęła chylić się ku upadkowi. W r. 1917 teatr oddano w dzierżawę prywatnemu przedsiębiorcy, lecz po 6 tygodniach jego dyrekcyi przedstawienia zostały zawieszone.

W maju tegoż roku sami aktorzy postanowili prowadzić teatr i zgrupowali się w Zrzeszenie, które miało grać na działy. Na jesieni r. 1917 ze Związku stowarzyszeń praskich znowu wyłoniła się Komisya teatralna i w maju r. 1918 powierzyła kierownictwo literackie p. Tadeuszowi Kończycowi, który, mimo warunków, niesprzyjających pracy kulturalnej, przyczynił się do podniesienia poziomu artystycznego sceny i dzięki umiejętnie układanemu programowi potrafił zachęcić publiczność praską do uczęszczania na widowiska teatralne. Frekwencyą cieszą się nietylko sztuki z repertuaru lekkiego (operetki, wodewile) lecz również z zakresu literatury poważnej (np. Eros i Psyche).

Na sezon bieżący p. Kończyc projektuje wystawienie „Lilji“ Morsztyna, „Księdza Marka“ i „Snu srebrnego Salomei“— Słowackiego, „Woźnicy Henszla“ Hauptmanna, „Bagienka“ Gorczyńskiego i t. p.

Środki pieniężne na pokrycie wydatków teatr czerpie głównie ze sprzedaży biletów. Wprawdzie miasto wypłaca teatrowi subwencyę (12.400 mk rocznie), lecz jednocześnie nakłada na widowiska tak wysoki podatek (19.000 mk. rocznie), że ostatecznie teatr nie tylko nic nie zyskuje od magistratu, ale jeszcze mu dopłaca 7.000 mk rocznie. Mimo najlepszych chęci obecnego kierownika literackiego p. Tadeusza Kończyca, teatr praski skutkiem niedostatecznych środków materjalnych, skromnych dekoracji i sił aktorskich nie jest w stanie należycie się rozwijać i dalsze jego istnienie zależne jest od większego poparcia i zainteresowania się sprawami jego Zarządu miasta.

Teatr Ludowy, o ile ma spełniać zadanie kulturalne wśród mas, nie powinien dzielić losów kopciuszka i być traktowany na równi z przygodnymi teatrzykami w ogródkach lub na jarmarkach, lecz uzyskać prawo obywatelstwa w gronie wszystkich innych artystycznych instytucji i cieszyć się uznaniem ogółu.

Potrzebę reformy teatru ludowego uświadomił sobie założyciel Teatru Powszechnego przy ul. Chłodnej, p. W. Potrzebiński i wystąpił do magistratu z projektem wybudowania teatru ludowego o wielkich rozmiarach. Do tego celu najlepiejby się nadawał plac, położony w dzielnicy wolskiej, przy zbiegu ulic Leszna i Żelaznej i należący do t. zw. Sekcji fundacyjnej. P. Potrzebiński zaproponował magistratowi objęcie tego placu w dzierżawę i wzniesienie na nim gmachu teatralnego, obliczonego na 1500 osób i urządzonego według najnowszych wymagań techniki teatralnej. Fundusze zostałyby zebrane drogą wypuszczenia akcji, które z pewnością znalazłyby wielu chętnych nabywców. Ceny biletów byłyby dostępne nawet warstwom najmniej zamożnym, a repertuar pozostawałby pod opieką miejskiej delegacji do spraw kultury.

Projektodawca żąda, aby miasto wydzierżawiło mu plac pod budowę gmachu na lat 30 i płaciło teatrowi 13.000 marek rocznej subwencji, jako procent od wyłożonych przez p. P. 600.000 mk na budowę i urządzenie teatru. Po latach 30 teatr wraz z całym urządzeniem, dekoracjami i t. d. przejdzie na własność miasta.

Nie wdajemy się tutaj w krytykę pewnych szczegółów tego projektu, które należałoby zakwestjonować, chodzi nam tylko o zwrócenie uwagi ogółu na samą inicjatywę założenia prawdziwie kulturalnej placówki, która nauczyłaby masy ludowe cenić żywe piękne słowo i mieć kult dla wielkich dzieł sztuki dramatycznej.

Leon Pączewski.

W KALEJDOSKOPIE SCENY.

Teatry nasze nie mogą narzekać na publiczność, na brak zainteresowania się sztuką sceniczną. Jak dawniej — i dziś teatr odgrywa w naszem życiu wielką rolę, skupia na sobie uwagę ogółu, pociąga i zajmuje. Na każdej premierze bywa pełno. Czy sztuka lepsza, czy gorsza—publiczność warszawska, jak baranek potulna, ciągnie ku kasom teatralnym, ustawia się w „ogonki“ i prawie ze łzami w oczach odchodzi od kas, o ile nie otrzyma biletów.

W Rozmaitościach po „Profesorze Storicynie“ Andrejewa powiał ze sceny lekki, niefrasobliwy humor, pikanterya dyskretna wytwornego dyalogu w sztuce bez akcyi, lecz zato pełnej scen jaskrawo-artystycznych,—w „Osie“, granej swego czasu w teatrze Małym, obecnie przemianowanej na „Anioła opiekuńczego“. Od „Osy“ — do „Anioła opiekuńczego“ droga dość daleka i podziwiać należy umiejętność, z jaką ją przebyli ci, którzy komedyę Picarda takiem ochrzcili mianem. „Osa“ jest tytułem o wiele właściwszym pod każdym względem. Określa przytem od razu charakter bohaterki sztuki pani Teresy, która jest istotnie kąśliwa, jak „osa“. Ale na dnie tej kąśliwości czai się smutek zawiedzionych nadziei, czai się gorycz serca, które nie miało komu ofiarować płomienia, jaki wre w niem, aż zaparło się swych pragnień, przestało wierzyć w moc miłości, stało się złośliwe i bezwzględne.

Oczywiście, rolę Teresy powierzono p. Pichorównie, uboga bowiem w talenty niewieście nasza pierwsza scena ma do wyboru tylko dwie bohaterki pp.: Felicyę Pichorównę i Janinę Szylinżankę. Obie też zużytkowuje możliwie najnieodpowiedniej, dając do grania wszystko bez wyboru. Zdarza się, że to się nieraz udaje, ale bywa czasem inaczej. Ot, i z Teresą w interpretacyi p. Pichorówny nie jest zupełnie dobrze. Świetna artystka zanadto podkreśliła cechy charakterystyczne Teresy, a więc jej kąśliwość — która powinna być lekka, pełna dowcipu, a nie grubo ciosana, jej zaniedbanie (bądź co bądź to kobieta młoda jeszcze, z lepszego towarzystwa, winna być ubrana skromnie, lecz ze smakiem), jej wreszcie wygląd niepozorny. Mimo wszystko — Teresa nie może być brzydalem o czerwonych włosach! To kobieta ładna, miła, pełna wdzięku — i to w niej właśnie odkrywa wreszcie jej partner w grze scenicznej, kochanek jej przyjaciółki. Trzeba było cokolwiek zastanowić się nad tem, a i reżyser mógł przecież wybornej artystce zwrócić uwagę. P. Pichorówna, zeszpecając się, zeszpeciła „Osę“, uczyniła też poprostu cud, wzbudzając w tych warunkach afekt w p. Junoszy—Stępowskim, który tym razem okazał się mało wybrednym adonisem. A przecież p. Pichorówna powinna była nieco zaakcentować i to, że kochanek jej przyjaciółki podobał się jej odrazu, choćby dla kontrastu.

W scenach II aktu stała jednak utalentowana artystka na wysokości zadania. Grała z temperamentem, z wielką rutyną. P. Junosza-Stępowski, znakomity jej towarzysz, wzbudzał, jak zawsze, zachwyt szczególniej płci słabej, grą artystyczną nawskroś, subtelną, lekką.

Poprawne były pp.: Sulima i Weryho. Poprawne, ale chłodne. Pozostali wykonawcy nie mieli pola do popisu.

W teatrze Letnim farsa robi świetne interesy, odkąd gości tam wyborny komik, Antoni Fertner. „Dudek“ zapełniał salę po brzegi przez cały miesiąc, obecnie robi to samo „Ciotka Karola“, pełna humoru farsa Brandona Thomasa. Komizm Fertnera w tej krotochwili nie jest zwyczajną szarżą, tkwi w nim beztroski, niefrasobliwy, ale szczery humor, o jaki dziś bardzo trudno, dźwięczy młody śmiech swawolnego angielskiego lorda, który gotów jest zawsze urządzać „kawały“, nie pomnąc na swą godność lordowską... Śmiech ten naraża widzów, którzy śmieją się również tak, jak dawno już się nie śmieli.

I może dlatego—ciągną co wieczór do teatru w ogrodzie Saskim. Zresztą sztuka jest grana nienajgorzej. Reżyser Trapszo jest doskonałym Spittingiem, pani Chaveau arcymiłą i pełną wdzięku ciotką Karola—prawdziwą, p. Macherski ma dużo młodzieńczego humoru. I pp.: Orłowski, Starska, Wiśniewska, Kalinowska sprawiają się dobrze.

W teatrze Małym „Gra zmysłów“ d-ra Hansa Müllera. Jest to autor dobrze znany w Austryi i Niemczech, a u nas wcale. Jego sztuki „Niebieska zatoka“, „Króle“ osiągnęły wielki sukces w Burgu wiedeńskim i na wszystkich scenach niemieckich, a krytyka porównywała Müllera z takimi mistrzami dyalogu, jak Shaw i Schnitzler.

Lecz—takim mistrzem Müller nie jest. Jest za to naprawdę utalentowanym *causeur'em*, opowiadającym anegdoty lekko, z dużą dozą humoru i — niekiedy — ironii. Patrzy na życie i widzi w niem fakty, zasługujące na ironiczno-humorystyczne ujęcie i odtworzenie. Śmieje się zręcznie, dowcipnie z życia, ludzi, świata.

Nie lubi dramatu.

Lubi pogodne zakończenie nawet lekkodramatyczneh sytuacyi.

Jest w nim materyał na satyryka, na komedyopisarza, dającego w swych sztukach sceny z życia różnych ludzi, należących do kategoryi takich, którzy bezmyślnie trwonią czas i na głębsze uczucia go nie mają. Ludzie płytcy, powierzchowni, lekkomyślni — to sfera działania Hansa Müllera. Zdaje się znać dobrze to środowisko i umie je odtwarzać zręcznie, ciekawie.

Nie ma w sobie nic z paradoksalności Bernarda Shawa, ani Schintzlera, nie dorówna Herczegowi, autorowi „Niebieskiego lisa“, ale zająć potrafi.

Grano tryptyk Müllera, składający się właściwie z trzech różnych aktówek („Pan minister“ „Środa“, Garaż“) starannie, a wystawiono bardzo ładnie. Wyróżnili się korzystnie pp.: Mrozińska, Kozłowska, Broniszowa, Kochanowicz, Neubelt, Ratowski. Trochę za sztuczny był pan Ziembiński, a za płasko-komiczny p. Bielicz.

Teatr Nowości gra z powodzeniem „Gałganducha“ czyli „Trójkę hultajską“ Nestroya w opracowaniu dyrektora Śliwińskiego, który sztuce nadał odpowiedni ton i barwę. Z wykonawców na wysokości zadania stanął jedynie p. Walter, drugim z kolei był p. Winiaszkiewicz, który starannie grał swoją rolę. Wystawa bardzo dobra i ładna.

Teatr im. Staszica pod dyr. pp. Gołogowskiego i Remigjusza Kwiatkowskiego, znanego poety, rozpoczął działalność, wystawiając „Konfederatów barskich“ Mickiewicza. Piękny prolog, poprzedzający widowisko, napisał dyr. Kwiatkowski. Grano składnie, a żywo.

T. Kończyc.

Z LISTÓW DO „BLUSZCZU“.

Wspomnienie z Sielc.

Kto nie był dawno w kąciku Warszawy położonym po za pięknemi Ujazdowskiemi alejami, po za parkiem Łazienkowskim i Belwederem, ten zwróci niezawodnie uwagę na rozległe place i małe placyki, gdzie nikłą trawę deptali lat wiele przechodnie, wśród piaszczystych dołów; pokryte dziś wspaniałą zielenią wybujałych, udanych jarzyn.

Jest to tak zwane przedmieście Sielce, które ma swoją historyę, ściśle z losami miasta związaną, ma park do pałaców Królewskich należący a zaniedbany, z zabytkami dawnej architektury, ze stawami, ze starodrzewiem, ma gmach okazały rosyjskiego „Pryjutu“, gdzie po opuszczeniu Warszawy przez rosjan przytuliło się nasze — Gniazdo sieroce,—ma ulubione przez warszawiaków przybytki zabaw jak: Marcelin, Sielanka, Promenada, ma Schronisko dla paralityków pod opieką sióstr Zgromadzenia Ś-go Franciszka zostające, ma sporo odrapanych kamienic, sporo małych domków z ogródkami, kilka mniej, lub więcej gustownych willi, kilka też ogrodów, poważne posiadaczom przynoszących dochody.

Wobec wzrastających cen mieszkaniowych w Warszawie, spragniona ciszy, świeżego oddechu, własnego ogródka i pewnego ułatwienia warunków trudnej egzystencyi, inteligencya, coraz więcej zaludniać zaczyna Sielce, a zbliżenie jej, zainteresowanie osobiste, poznanie wszystkich potrzeb warstwy zamożniejszej i tych najuboższych, naturalnem następstwem poruszyło tu nerw życia.

Znalazł się ktoś, który wprost znieść nie mógł widoku tak znacznej ilości ziemi nieużytecznej, więc podjął trudne zadanie wyszukania właścicieli placów, uzyskania pozwolenia władzy i rozdawnictwa zagonów na jednorazową uprawę i obsianie, a było to w pierwszym roku wojny. Wysiłek ten dobrej woli osiągnął pożądany skutek, dobijali się pozbawieni, a łaknący zagona biedacy, w część swoją zasadzili kartofle, które wnet zielenią pokryły Sieleckie place, a gdy tak początek został zrobiony, rok rocznie już wiekowe nieużytki uprawiają się i obfite przynoszą plony.

Ta sama dobra wola podjęła założenie sklepu komitetowego i taniej kuchni, o wszystko trzeba kołatać, w tem jakby zapomnianem przez miasto i po macoszemu traktowanem przedmieściu; ale jednak kołatanie wspólnemi siłami dokonało już wiele, nietylko w gospodarczym, ale i w oświatowym kierunku.

Poparta przez Macierz powstała czytelnia, gdzie zgromadzono liczny zapas książek wartościowych, naukowych i fachowo pożytecznych, z których korzystają przeważnie młodzi chłopcy i młode dziewczęta, dzieci osiadłych posesorów i robotników, widocznie spragnione uświadomienia życia i wiedzy. Oni też gromadnie uczęszczają na odczyty, urządzane w porze jesiennej i zimowej

Przypływa ku nim i porywa ich żywe słowo, a snać te umysły i serca rozwijają się wcześnie, snać wdzięczny stanowią grunt, bo już w ochronkach stwierdzić można dążenie do światła. W maleńkich serduszkach nie ginie żadne zdrowe ziarno, praca szlachetna zapuszcza korzenie, miłość Ojczyzny rośnie...

Miałam sposobność przekonać się o tem, na ostatnim przedwakacyjnym popisie, ale niestety nie mogłam oddać się radości, gdyż widok pobladłych twarzyczek, napełniał mnie ponurym smutkiem.

Jakżeż inaczej wyglądały te dzieci przed rokiem!...

Jak wyglądać będą w roku następnym? Czy wiele z nich wyrośnie, dojrzeje?... nasuwały mi się dręczące pytania, a przecież są to dzieci polskie, to przyszli pracownicy, przyszli obywatele polskiej Ojczyzny.

I oto, przypominając dziś tę chwilę niecodziennych wrażeń dowiaduję się, że Sielcom odmówiło miasto zatrzymania liczby wydawanych dotąd w taniej kuchni obiadów, że więc coraz trudniejsze dla wyżywienia tej dziatwy gotują się warunki.

J. P.

Z. MORAWSKA.

A drzewa szumiały...

(CZĘŚĆ II-ga)

Na Sybir!

1)

I.

Drzewa szumiały...

Tak,—szumiały podlewane krwią bratnią. Bratnią, — boć w moskiewskim wojsku byli nietylko Moskale, lecz i Polacy, pędzeni z rozkazu cara, a raczej z rozkazu jego urzędników. Teraz szumiały podlewane krwią bratnią, i zwisającemi gałęziami, na których poruszane wiosenną wichurą dzwoniły sople lodu.

Powstanie bowiem rozpoczęte z 22 na 23 stycznia 1863 r.—rozpoczęte z taką bezgraniczną wiarą i poświęceniem ciągnęło się jeszcze.

Wlokło się ono przez całą wiosnę, lato i rozpłakaną jesień, wkraczając resztkami sił w rok następny.

Były to rzeczywiście już resztki sił, powstanie bowiem, mimo poświęcenia upaść musiało z powodu braku broni, amunicyi,—no i powiedzmy braku ludzi, którzy widząc, że wszelkie ich poświęcenie na nic się nie przyda, nie kwapili się, żeby nieść życie dla odbudowania ojczyzny.

Widziano bowiem, że całe tłumy chwytano, rozstrzeliwano odrazu, lub pędzono na Sybir.

Na Sybir, gdzie mieli zaludniać nieosiadłe dotąd krainy, lub w kopalniach dobywać nieprzebrane bogactwa, któremi kraj ten mógł się rzeczywiście poszczycić.

— — — — — — — — — — — — — — —

Anna i Marya jak postanowiły pójść na Sybir za swoimi narzeczonymi, tak poszły.

Poszły mimo protestu ojca, mimo łez matki.

— Przysięgłam Adamowi, że go nie opuszczę aż do śmierci, i nie opuszczę! mówiła Marya.

— Ja toż samo przysięgłam Leonowi i przysięgi nie złamię!—ozwała się z wielką stanowczością Anna.

Nie było rady!

I oto ten sam ksiądz, który krzepił umierających na polu walki i udzielał sakramentów, ten sam, który jako skazaniec szedł również na Sybir, udzielił obu parom błogosławieństwa.

— Kto ci pozwolił na udzielenie małżeństwa?!—wrzasnął główny dowódca mający powierzoną pieczę nad odkomenderowaniem skazańców.

— Ten sam, co mi pozwolił na udzielanie wogóle wszelkich sakramentów! — odrzekł spokojnie ksiądz Madura. Dowódca nic nie odrzekł,—zacisnął tylko pięści i zgrzytnął zębami.

Po naradzeniu się z innymi prowadzącymi konwój, uznał, że nic na to poradzić nie można.

Jeden zaś ozwał się z całym cynizmem:

— Niech idą diewoczki, może i nam się co od nich dostanie.

Śmiał się przytem, zachęcając innych do śmiechu, z rzekomego swego dowcipu.

Szedł więc oddział złożony z kilkuset skazańców, szły i dwie kobiety...

Szedł, unikając miast większych;—prowadzący bowiem mówili:

— W dużych miastach jest wszędzie dużo polaków, zarazby wychodzili, rozczulając się nad skazańcami.

— Ho, ho, Polaczki jedyni do tego! dodawano.

— Każdy, jeżeli Polak, to brat.

Prowadzono ich więc ubocznymi drogami.

Taki mieli rozkaz od władzy.

I szedł dalej oddział złożony z kilkuset nieszczęśliwych i dwóch kobiet.

Te szły ze sporymi tobołkami, gdzie prócz bielizny mieściło się nieco szarpi, bandaży i środków opatrunkowych.

Adam i Leon oraz ksiądz szli w kajdanach na rękach i nogach, kobiety więc przygotowane były, że trzeba będzie rany ich od czasu do czasu opatrywać.

Większe tobołki, oraz zapasy żywności wieziono na wozach,—a że, polecono, żeby cały oddział skazańców był doprowadzony zdrowo i w całości na miejsce przeznaczenia, starano się więc o ich odżywianie. Rozkładano raz na dzień ogniska i gotowano strawę dość znośną, którą mimo kradzieży konwojujących, można jeszcze było przełknąć.

Mimo to na postojach uproszono zawsze którego z żołnierzy, żeby przyniósł kawałek chleba lub jakiegoś mięsiwa.

Były już pierwsze dni marca r. 1864 kiedy ich wypędzono. Rozpłakany zwykle marzec darzył wyjątkowo słońcem i pogodą, jakby litował się nad nieszczęśliwymi. Kwiecień był jeszcze pogodniejszy, darzył jakby przyspieszoną wiosną.

Tak, wiosna roztaczała pierwszy zapach rozoranej ziemi i wogóle wszelki urok, jakim nas otacza przyroda. W miarę wszakże posuwania się na wschód, wiosna się cofała, wiatr ze śniegiem i deszczem smagał z północy, a kobiety mimo wysokich butów i bardzo ciepłego odzienia drżały nieraz wśród chłodu i rozmiękłego błota.

Wśród tego chłodu i zimna pocieszały się odmawianiem „Kto się w opiekę“, lub nuceniem „Pod Twoją obronę“, które cały oddział powtarzał.

Podczas tych pieśni śpiewanych drżącym głosem przez skazańców, niejeden żołnierz ocierał ukradkiem łzy z oczu.

Konwojujący zaś oficerowie nie mogli się powstrzymać, mimo całego swego cynizmu od podziwu tych wyjątkowych kobiet.

Nie jeden znów, który wzdychał, patrząc na te pełne poświęcenia kobiety i żałował, że żadna dla niego się nie poświęciła, teraz myślał:

— Dobrze jest, jak jest, boćby mi żal było patrzeć na *moją*.

A Marya i Anna na każdym postoju obmywały nogi mężów, smarując suto tłuszczem, żeby kajdany nie zostawiały zbyt wielkich śladów i nie raniły nieszczęśliwych.

Nie skąpiły również starań tak dla księdza jak i innych nieszczęśliwych, którzy szli w kajdanach. Byli bowiem i tacy, co szli, pędzeni bez kajdan, czyli mniej obwinieni.

Szli zato przykuci żelazną bransoletą do drąga, żeby nie mogli uciec.

Zato jeżeli jeden zasłabł, inni musieli się wlec dłużej; a trafiało się, że gdy który skonał wlekli go również z sobą, aż do najbliższego postoju. Tam sprawdzono śmierć i zapisano, że taki a taki numer zamarł na drodze. Skazańcy bowiem nie według nazwisk, lecz za numerami byli zapisywani. Wtedy zostawiano nieszczęśliwego, a raczej szczęśliwego, że się już skończyły jego męczarnie.

Zostawiano, nie troszcząc się zgoła, póki kruki i wrony nierozdziobią jego ciała, a wiatr nie przyniesie rodzinie wieści o nieszczęśliwym.

Na jednym z postojów przyszedł do Maryi prowadzący konwój i rzekł po rosyjsku.

— Tak ja już z wami dalej nie pójdę, mnie się należy nagroda...

— Ileż pan żąda? zapytała, obliczając, ile ma w rublowej monecie.

— Ha, ha, ha! zaśmiał się szyderczym głosem.

— Nie taka w pieniądzach, — no pocałunek?... I chciał ją ująć; zbliżył nawet swe wstrętne usta do jej twarzy, lecz Marya cofnęła lice i spojrzała tak groźnie, że Moskalowi odpadła ochota zalotów.

Toż samo uczynił drugi konwojujący przyszedłszy do Anny.

Tylko ten bez wszelkiego wstępu, uchwycił ją od razu wpół,—przycisnął do siebie w nader gorący sposób i chciał całować.

Anna, krzyknąwszy, szarpnęła się gwałtownie, i nim się ten spostrzegł, uderzyła go w twarz, nie obliczając, jakie mogą być z tego skutki.

Jednocześnie zabrzęczały kajdany na rękach i nogach Leona.

Doskonale rozumiał, że nic uczynić nie może, a tylko pogorszy swoją sytuacyę,—nie mógł się jednak powstrzymać od niemego protestu.

Szczęśliwie wszakże się skończyło bez dalszych złych skutków.

Nietylko, że się skończyło, lecz napastujący Annę Moskal chwalił się.

— Wyściskałem i wycałowałem suprugę tego zbója drugiego numeru, ile tylko mi się podobało.

— Trzeba tylko śmiało i odważnie poczynać, a z kobietami zawsze się uda!

Chwalił się bezczelnie.

— Najlepszym tego dowodem moja zarumieniona twarz! — dodał, wskazując zaczerwieniony rzekomo od uścisków policzek.

— I mnie się też doskonale udało! — rzekł mimochodem pierwszy.

I jakby zajęty czemś nader ważnem, poszedł w swoją stronę.

A dziwna rzecz, czuł on pogardliwy wzrok Maryi,—który mu kazał zaprzestać niewczesnych zalotów.

Czuł go jeszcze w tej chwili, i czy to była nieco subtelniejsza natura, czy z innej jakiejś przyczyny, dość, że wzrok ten odczuwał, ilekroć sobie przypomniał niefortunne zaloty. (D. c. n.).

ZOFJA BASSAKÓWNA.

Zwierciadło.

3)

Tegoż wieczora przyszli obaj na werandę pani Mysi. Gdy witali się, pani Anna wspomniała ranną rozmowę i na jedno mgnienie oka ujrzała jego twarz nie taką, jak była w tej chwili, ale w tamtym niejasnym obrazie, bladą, ze zwężonemi punkcikami źrenic, jak gdyby oddalając się odwrócił głowę i popatrzył na nią. Pani Kraskowska według zapowiedzi zasypała go pytaniami, na które odpowiadał nawpół-ociągająco, nawpół-ze śmiechem. Radecki mówił coś do pani Anny i słuchała go zuwagą. Nagle pani Mysia zawołała:

— Pani Anno, a kiedy przyjeżdża ukochany?

Odpowiedziała nie odrazu:

— Władysław jest teraz zajęty. Przyjedzie później i to zapewne na krótko.

— Ach, jaka pani wzorowa żona! Pierwsza myśl zawsze o mężu! Tak zresztą należy, a pani zawsze myśli i mówi to co należy. Ale ja w tej chwili myślałem nie o panu Władysławie, tylko o tym poecie z długiemi włosami, który był taki smutny, kiedy pani miała odjeżdżać, i mówił, że tu przyjedzie, tylko biedny pewno nie ma za co. On pewno niedługo umrze, bo taki blady i ma suchotnicze wypieki, ale przedtem napisze wiersze, i wszyscy będą wiedzieli, że to pani go natchnęła. To wielki zaszczyt dla kobiety być dla kogoś natchnieniem. Może tu nie taki wielki, bo jego wiersze nie są bardzo ładne i nikt ich nie chce drukować. Ale zawsze i to przyjemnie.

Pani Annie wydało się, że Celiński popatrzył na nią przenikliwie i badawczo, i spłonęła bladym rumieńcem.

Odtąd przychodzili często wieczorami. Siadywali we czworo albo na ławce, w ciemnym, milczącym parku, gdzie ich głosy tonęły w głuchej, pełnej olbrzymich snów ciszy, albo na werandzie pani Mysi, która lubiła stroić się w koronkowy fartuszek, jak pensyonarka na popisie, i gospodarować herbatą i ciasteczkami. Celińskiego akaparowała dla siebie, głośno i figlarnie wołając, że nie trzeba rozdzielać kochanków. Radecki wybuchał śmiechem, bez zakłopotania, a Celiński bez oporu poddawał się rozporządzeniom, ale po jakimś czasie, w ciemnościach, świetle czy półmroku pani Anna zawsze wyczuwała na sobie jego wzrok, obcy, a tak dziwnie znajomy, zblizka patrzący, a tak nieskończenie daleki, jakby go przedzielała od niej cała wieczność zapomnienia. Jednak oczami nigdy nie spotkała tego wzroku. Pani Mysia pytała:

— A ci Zulusi czy Kafrowie, to bardzo straszni ludzie? Wcale nie? Ach, jabym się bała! Jak to oni pana nazywali? Nie, tak nie potrafię powtórzyć. A pan mówił z nimi w ich języku? Pan jest strasznie uczony! A po polsku to znaczy „biała małpa?“ Dlaczego tak brzydko? Ach, to pewnie dlatego, że pan taki zgrabny i zwinny? Oni bardzo się pana bali?

Albo:

— A pod zwrotnikami pan chodził w białym kasku?

— Chodziłem w kasku płóciennym, jak wszyscy europejczycy.

— Ach, jak to musiało być ładnie! Pani Anno, kupmy sobie białe kaski! Pan nas nauczy jak wkładać. Pójdziemy na słońce i będzie nam się zdawało, że jesteśmy pod zwrotnikami. Albo nie, nie kupujmy. Zresztą tu nie dostanie.

Celiński śmiał się swoim dziwacznym śmiechem, podnosząc na panią Annę spojrzenie blado-niebieskich oczu z tkwiącemi w nich nieprzenikliwemi punkcikami źrenic, jak gdyby jej, jej wyłącznie miał coś do powiedzenia. W odpowiedzi uśmiechała się roztargniona, uporczywie ścigając w pamięci znikające przyomnienie.

Czasem, w dzień, kiedy nie myślała o nim, wśród rozmowy z Radeckim lub zabaw z Alfem, zjawiało się, jak błysk, na jeden niepostrzeżenie krótki moment i zanim zdążyła pomyśleć, że jest, gasło, zostawiając po sobie świadomości, że było.

Celiński opowiadał, tak jak i śmiał się, dziwacznie. Może dziwacznem było tylko to, że krótkiem słowem, jak sztrychem, wydobywał nagle z egzotycznego tła jakiś daleki, zawsze niespodziewany obraz. Ale ciekawość pani Mysi coraz częściej zwracała się w jedną stronę.

— Niech pan jeszcze opowie o tych objazdach w lektyce przez lasy. Czterech murzynów pana niesie. Jakbym widziała te cztery żywe czarne posągi w białych przepaskach. Jak to oni śpiewają w marszu? Le blanc est riche, le blanc est fort, le blanc est bon! A w lektyce pan jechał sam?

— Lektyka jest na jedną osobę.

— A w tym domu, drewnianym, pachnącym cytronellą, kto był z panem? Pan tak obrazowo opowiada, że zdaje mi się, że to ja, kiedy pana niema w domu, kręcę się po werandzie i zrywam białe kwiatki. Pan widział kiedy, jak pani Anna ślicznie układa bukiety?

— Miałem niewolników—czarnych.

— Jakto? murzynów? Przecie niewolnictwo zniesione?

— Tak jakby.

— No to i niewolnice! Czarne niewolnice? A one nie smolą? Ach, jakie pan niemoralne rzeczy opowiada! Ach, prawda, że to ja, nie pan! Bardzo przepraszam...

Celiński śmiał się. Ale za chwilę pani Mysia pytała znowu:

— I w Meksyku, w tym kamiennym pałacu, całym obrośniętym różami, pan także był sam? W takim ogromnym domu wśród puszczy? I nie było panu smutno? Pani Anno, czy pani czuje zapach róż? Białe róże, całe pęki!

— Nie, kremowe i czerwone.

— To nie mój kolor, ani pani Anny, choć pani lubi ponsowe róże, takie jak dziś przyniósł kochanek?

Lecz aluzya do kochanka wywołała dobroduszny śmiech tylko u Radeckiego. Celiński nawet nie spojrzał.

Gdy opowiadał, pani Anna słuchała, przymykając oczy i przechylając w tył głowę, wspartą na fotelu. Ale po pewnej chwili słuchała już tylko półświadomością. Poza wszystkiemi obrazami tkwiła tamta wizya. Zjawiała się znienacka i już nie znikała, owszem, choć nie wyraźna, zacierała, występując, kontury innych, jak gdyby wszystkie były tylko zwodnym mirażem, a ona jedyną rzeczywistością. I ciągle, sama o tem nie wiedząc, czekała, że opowiadanie nareszcie kiedyś dotrze i do tego. Ale mówił o wszystkiem, o co go pytała pani Mysia, a tylko tego jednego nigdy nie było.

Czasem, z niezachwianym spokojem bez cynizmu opowiadał rzeczy straszne. Pani Mysia wydawała wtedy lekkie okrzyki przerażenia i tonem dziewczynki, wydającej katechizm, czyniła chrześcijańskie uwagi, także lekkie. Chodziło o robione w tajemnicy poszukiwania pewnej rzadkiej substancyi niezmiernie cennej, która, gdyby ją rzucić w wielkiej ilości, mogłaby wywołać przewrót na rynku światowym. Nieliczna ekspedycya wylądowała na pustem leśnem wybrzeżu. W trakcie, gdy robota była w pełnym biegu, między drzewami ukazał się murzyn.

— I pan zabił!—wołała pani Mysia składając ręce.

— Ja jeden miałem karabin w ręku.

— Wszystko jedno, pan czy kto inny. Tak wyprawić na tamten świat człowieka, nawet czarnego! I czarni ludzie mają duszę, choć pan nie wierzy. A może on miał jaki grzech na sumieniu?

— I nie jeden. Czarna dusza miała przy sobie zatrute strzały. Moi ludzie zabrali je.

— Ale zawsze nie on pana zabił, tylko pan jego!

— Ładniebym wyglądał, gdybym czekał, aż on mnie zabije. Gdybym go puścił, naprowadziłby na nas innych i jedna noga nie uszłaby z całej wyprawy. To jeszcze ludożercy. A tak, nim go zaczęli szukać, myśmy już byli daleko z ładunkiem.

— Więc pan przyznaje, że pan to zrobił dla pieniędzy, żeby być trochę bogatszym?

— Nawet niewiele mi z tego przyszło. Obliczenia były złe. Nie ja je robiłem. A mąż pani, czy nie zabija swoich robotników bielą cynkową? Tyle, że trochę wolniej.

— O, nie dam nic mówić na Brysia! — ujęła się kokieteryjnie za mężem, a ponieważ zabity czarny obchodził ją tylko jako pretekst do minek, zaczęła z takiem samem przejęciem pytać o coś innego.

Lecz panią Annę uderzyło to chłodne okrucieństwo. I—rzecz dziwna — uderzyło nie jako cecha samego Celińskiego, odrażająca i przykra, ale jako pominięty pamięcią szczegół tamtego niejasnego obrazu. Teraz dostrzegła. Atmosfera obrazu była także pełna niewiedzącego o sobie okrucieństwa, i to czyniło oddalający się krok takim nieubłaganym, a tę nagle odwróconą twarz taką spokojną i nieprzeniknioną ze zwężonemi źrenicami w bladych oczach. Na obecnego wrażenie nie przeniosło się wcale, i on to widać odczuł, gdyż ani się nie usprawiedliwiał, ani nie tłomaczył, a odchodząc, pożegnał zwykłem lekkiem uściśnie-

niem ręki i przelotnem spojrzeniem. A ona to spojrzenie już kiedyś widziała.

I co jeszcze dziwniejsze—zaledwie odszedł, zaledwie pani Anna znalazła się w swoim pokoju, gdy wspomnienie zjawiło się niespodziewanie z prostotą, z jasnością, ze wszystkiemi szczegółami, nie wywołując żadnego uczucia prócz zdziwienia, że *tego* można było szukać tak długo, a nadewszystko przybrać tak fantastycznie.

(D. c. n.).

LEONIA GRABSKA.

SPĘTANI

POWIEŚĆ.

(CIĄG DALSZY).

Zygmunt położył na stół książkę trzymaną w ręku, i, stłumiwszy zniecierpliwienie, sięgnął po kapelusz.

— Gotowa pani jeszcze zrobić ze mnie tyrana i kata, ach, wy kobiety, zawsze w wszystkiem widzicie więcej niż jest. Iza musi się ochraniać, a gdybym ją do tego zmusił, oskarżono by mnie o zazdrość. Ona sama z pewnością śmiała by się z pani podejrzeń. Bo czegóż jej braknie? Czyż nie dbam dosyć o jej wygody, nawet zachcianki?

Gdy wyszedł, francuzka wolno, ze schyloną głową wysunęła się z pokoju i idąc korytarzem stanęła koło drzwi buduaru pani Izy. Lekko nacisnęła klamkę i wsunęła się do saloniku. Nie było w nim jednak nikogo. Okna przysłonięte ciężkiemi jedwabnemi kotarami, maleńkie foteliki i sofki, jakby w nieładzie porozstawiane, ryszny bukiet ponsowych goździków wiądł w kryształowym wazonie. Jakaś atmosfera smutku panowała tu, wyzierała z każdego kąta. Wielki portret Zygmunta w złotych ramach wydawał się jakiś obcy i niemiły, twarz miała wygląd surowy, a oczy były chłodne jak stal.

— C'est bien lui avec son régard froid et morne — mruknęła do siebie panna Berta, porządkując nuty i wstawiając świeże kwiaty do wazonów. Nie mogła pojąć, gdzie poszła pani Iza, gdyż w tym czasie przebierała się do teatru lub na koncert. Przeszła przez cały szereg pokoi, wreszcie zdecydowała się zajrzeć do gabinetu Zygmunta. Stanąwszy w drzwiach, dojrzała postać kobiecą, siedzącą przy biurku, była to pani Olszanowska. Głowę miała przechyloną na ręce, jakby spała czy marzyła...

Francuzkę niemile uderzył widok tej ręki wychudłej, woskowej prawie, a tak przezroczystej, że widać było na niej sieć drobnych, liliowych żyłek. Cicho wysunęła się z powrotem, ale na twarzy dobrej kobiety malowało się zakłopotanie, a w głowie błysnęła myśl? Gdzie ona była wtedy i czy nie słyszała wszystkiego.

— Dieu préserve — westchnęła, idąc jak zwykle o tej porze przyrządzić filiżankę czekolady swej pani. A pani Iza siedząc przy biureczku pisała. Nie był to jednak list żaden. Jakieś luźne kartki jedne po drugich zapełniały się drobnem, ozdobnem pismem.

Czasem łza spadła na cienki welinowy papier, czasem westchnienie ciche zadrżało w powietrzu. Przed nią stała duża fotografia Zygmunta, ta, którą najwięcej lubiła, taka pogodna, uśmiechnięta jak za dawnych lat, kiedy jeszcze żaden cień między nich nie padł.

Spojrzała na portret swój, zawieszony nad biurkiem, obrazek pastelowy i uśmiechnęła się do niego.

— Dawno już temu, dawno, — szepnęła do siebie—czas mknie, szczęście ucieka.

Z obrazku spoglądały na nią śliczne czarne oczy, trochę smutne i wyzierała mała główka obramowana puklami ciemnych włosów, które dziwnie odbijały od matowej, bladej twarzyczki o drobnym, klasycznym profilu.

— Dawniej a dziś—myślała z goryczą—wtedy szczęśliwa, kochająca i kochana, teraz walcząca o tę trochę uczucia, które odbiegało od niej bezpowrotnie.

Szybkim ruchem podbiegła do kominka i spojrzała w duże weneckie lustro wiszące na nim.

Dyskretne światło lampy rzucało różowy blask na odbitą w zwierciadle postać pani Izy i porównanie z obrazem młodych lat nie musiało wypaść dla niej niekorzystnie, gdyż uśmiechnęła się lekko i przesunąwszy dłoń po czole szepnęła do siebie:

— Nie, jeszcze wciąż ta sama mimo wszystkiego.

Schyliła głowę, tyle hołdów, powodzenia, tyle zachwytów otaczało ją, lecz cóż to mogło znaczyć, gdy ten, dla którego by życie oddała, nie odczuwał słodyczy jej miłości ani czaru urody.

— Niewdzięczny — westchnęła, stając znów przed wizerunkiem męża — dawniej byłam dla ciebie jedyna, najpiękniejsza i najpożądańsza, a teraz?

Głuchy żal do Niny szarpnął jej sercem. Ach, Adolf miał racyę, nie trzeba może było jej sprowadzać, dla wszystkich byłoby lepiej. Bo pani Iza miała jakby niejasne przeczucie tego, co się działo w sercu przyjaciółki.

— Ona się łudzi, nie chce rozmawiać o tem, co uważa za zbrodnię,—zastanawiała się pani Olszanowska, czując jak na wspomnienie tak drogiej dziewczyny, oczy jej powoli łzami zachodzą.

Ale jednak kocha go, kocha z pewnością, bo czyż jest kobieta, która umiałaby by mu się oprzeć? To znów przypominała sobie jak Nina była zawsze chłodna, dumna, jak nawet kuzynek Adolf zarzucał jej brak serca i żartował, że nie widział osoby odporniejszej na wszelkie uczucia. Ona sama czyż nie przepowiedziała Ninie, że kiedyś, kiedyś przyjdzie ta miłość nieoczekiwana, jak złodziej w ciemną noc, cicha i potężna. Wtedy śmiała się tylko z tych słów.

I czyż nie dziwne, że Jerzy tak i miły, ładny, taki zakochany nie wzbudził w niej nic prócz trochę litości? To nie prawda, by przyczyną było wspomnienie Bohdana. Tamto dawno skończyło się, tak dawno, że mogła już o tem zapomnieć. Tak mało jest ludzi, którzy raz tylko w życiu kochają.

Przed oczami stanęły jej te chwile życia kiedy Zygmunt na klęczkach błagał ją o trochę wzajemności. Jak to ona wtedy walczyła z uczuciem silniejszem jak śmierć, ile kosztowało ją to nadludzkich wisiłków, zanim zdecydowała się odepchnąć go od siebie.

Potem słodkie dni szczęścia i rozkoszy,—gdzie one teraz? Zginęły w mgle smutku i tęsknoty. Łza zabłysła w ciemnych oczach pani Izy i stoczyła się wolno po policzkach.

Zbliżyła się do biurka, zebrała luźne zapisane kartki papieru i chowając je do małej teczki postanowiła te łzami pisane słowa, prawie spowiedź zbolałego serca zostawić po sobie jemu... Wtem drzwi się otworzyły z hałasem i do pokoju wpadł raczej niż wszedł Zygmunt.

Zobaczywszy żonę w swoim gabinecie drgnął lekko, a potem przybliżywszy się upadł ciężko na fotel.

— Muszę z tobą pomówić Izo, rzekł cichym, złamanym głosem,—a gdy usiadła tuż obok spokojna i poważna, zaczął mówić szybko, trochę nerwowo, nie patrząc w jej stronę.

— Słyszałem dziś w klubie bardzo smutną wieść o Jerzym, jest na najgorszej drodze. Od dawna gra, bo z domu nie może już nic dostać, zadłużywszy majątek tak, że będzie musiał być sprzedany, ale do tego czasu wygrywał, szczęście mu dopisywało. Ale jak to zwykle szczęście od-

wróciło się, przegrał znaczną sumę i to na słowo. Ma trzy dni jeszcze tylko czasu, potem jeżeli nie uda mu się wynaleźć tej sumy zastrzeli się z pewnością. Tacy już oni obydwaj z Bohdanem—straceńcy.

To mówiąc Zygmunt wytarł czoło, na które grube krople potu wystąpiły, i wytężonym wzrokiem wpatrzył się w twarz żony. Ona swem łagodnem spojrzeniem przyglądała się mężowi przerażona trochę i zdziwiona, wreszcie odezwała się spokojnie.

— Więc daj mu tę sumę, nie będzie to jak sądzę ciężarem dla ciebie, masz tyle i skoro uważasz...

— Właśnie o tem myślałem, ale to jest jednorazowy ratunek, spłaci dług i znów zacznie to samo. Wiesz przecie, że opętany przez tę rudą piękność formalnie szaleje, a pieniędzmi rzuca na prawo i lewo. Obsypał ją brylantami, a wczoraj znów słyszałem od twego jubilera, że oglądał tę bransoletę z rubinów, którą widziałaś tam ostatni raz, i w tych dniach obiecał nabyć ją dla baletnicy.

— Czyż jednak nie pomogło by gdybyś dał mu tę sumę pod warunkiem, że grać przestanie?

(D. c. n.).

KRONIKA DZIAŁALNOŚCI KOBIECEJ.

Praca kobiet podczas wojny.

Minęły bezpowrotnie te czasy, kiedy kobieta była stróżem ogniska domowego, oddawała się macierzyństwu, a poza rodziną i najbliższem kółkiem nie znała świata. Napróżno wzdychają do owych błogich czasów różni wstecznicy, niezadowoleni, iż kobieta przestała być pokornem narzędziem swego pana, mężczyzny; daremnie wyrzekają pobożnisie na nowoczesną demoralizacyę, pogoń za strojami i fatałaszkami, pchające kobiety do samodzielnej pracy zarobkowej.

Historya przeszła nad tymi czasami do porządku. Nie chęć używania, żądza rozkoszy lub zysków, odrywają żony od mężów, matki od dzieci. Twardy los, dola wolnego najmity zmusiła je jąć się pracy poza domem. Kapitalizm, który wypycha chłopów do miast, zaprzągł i kobietę do swego rydwanu. Świętoszkowie, którzy najbardziej biadają nad jej dzisiejszym losem, są zwykle jednocześnie najgorętszymi obrońcami dzisiejszego ustroju, własności prywatnej. Oni więc, wbrew swym lamentom, są współwinowajcami dzisiejszego rozbicia rodziny.

Jak tylko powstał wielki przemysł, wraz z nim rozpoczęła się masowa praca kobiet i dzieci. Każde udoskonalenie maszyny, każde zastąpienie siły mięśni ludzkich siłą mechaniczną powodowało nowy przylew kobiet na fabryki. Praca ich była tańsza, a więc dla kapitalisty wygodniejsza, to też orano w nie bez miary.

Pewne granice położyło tu prawodawstwo fabryczne. Uczyniono to nie przez litość, bo sentymenty nie grają żadnej roli w wieku pary i elektryczności. Państwo kapitalistyczne potrzebuje nie tylko przemysłu, ale i rynków. Do bronienia starych lub zdobywania nowych potrzebna jest armia. Do armi mogą należeć tylko ludzie zdrowi; praca nadmierna kobiet groziła zwyrodnieniem całej ludzkości, pozbawiała rządy wojsk. To spowodowało pewne ograniczenie pracy dla osób płci żeńskiej.

Nie przeszkadzało to jednak ciągłemu wzrostowi liczby robotnic. W niektórych gałęziach produkcyi, np. w przemyśle włóknistym lub tabacznym, już w końcu ubiegłego wieku pracowało więcej kobiet, niż mężczyzn.

Wojna, która pod tylu względami zrewolucyonizowała stosunki, i tu doprowadziła do zmian zasadniczych.

Każdy nowy pobór wojskowy odrywał od warsztatów kwiat ludności męskiej. Miliony spokojnych pracowników, ubranych w szare mundury, pociągnęły na plac boju i zaprzestały pracy produkcyjnej. Gdyby wojna przetrwała tylko parę miesięcy, jak wielu przypuszczało, można byłoby się obyć bez pracy, wykonanej przez nich. Lecz walka trwa już piąty rok i niewiadomo kiedy się skończy. Tymczasem ludzkość musi jeść, musi w coś się ubrać. Wojna przestała być walką dwuch wrogich armii, zmieniła się w straszliwe borykanie społeczeństw. Zapasy się wyczerpały, dowóz z za morza dla jednych stał się niemożliwy, dla drugich utrudniony. Trzeba więc tworzyć na miejscu wszystko, co potrzebnem jest do zaspokojenia codziennych, chociażby zredukowanych potrzeb ludzkości, ale i to nie wystarcza.

W ciągu czterech lat powstał jeszcze olbrzymi przemysł wojenny, obsługiwany przez setki tysięcy robotników.

Kto mógł zastąpić przerzedzone szeregi pracowników? Tylko kobieta.

Pod tym względem charakterystyczne stosunki zapanowały w Rosyi. Ten kolos powołał w przeciągu wojny około 25 milionów ludzi pod broń. Olbrzymie przestrzenie, zła komunikacya i jeszcze gorsza organizacya, nie pozwalały, jak w innych państwach walczących, odpuszczać do domów na czas orki i żniw większej ilości żołnierzy, tak, że cała praca rolna zwaliła się na barki kobiet.

Nie inaczej było z pracą biurową i intelektualną.

Znowu nikt inny, tylko kobieta musiała swą osobą zapełnić powstałą lukę.

Jak olbrzymią część pracy wzięły na siebie kobiety, dowodzi fakt, iż nawet w Rosyi zaczęto im powierzać miejsca etatowe.

Nietylko w tyle, zdaleka od świstu kul, trudziła się kobieta. Twardy los pociągnął ją jako siostrę miłosierdzia, lub pielęgniarkę aż na pole walki. Rosja zaszła pod tym względem tak daleko, iż wiosną 1917 r. Rząd Tymczasowy Lwowa ogłosił *mobilizacyę przymusową* lekarek.

Podobnież oświata ludowa dostała się przeważnie w ręce nauczycielek.

Obecnie niema prawie rodzaju pracy, którejby się nie imała pracownica płci żeńskiej.

Do wojny przemysł transportowy np. zatrudniał wyłącznie mężczyzn, obecnie widzimy kobiety jako motorniczych, konduktorki w tramwajach i na kolejach, dorożkarki, woźniców omnibusów, kontrolerki i t. p. Przed paru zaś dniami w Anglji zaczęto formować żeński korpus lotniczy.

W fabrykach metalowych pracowały przedtym kobiety w bardzo ograniczonej liczbie i to tylko jako pomoc, nie mająca nic wspólnego z właściwą obróbką metalu. Wojna i tu wywołała przewrót, powołując je do tokarń i śrubsztaków. W Anglji dziś tysiące kobiet toczy żelazo na pociski i inne przedmioty, wykonywując tę pracę niegorzej od mężczyzn.

Nie będziemy się dalej rozwodzić nad wszystkiemi zajęciami, które dzięki wojnie, stały się udziałem kobiety. Śmiało możemy powiedzieć, iż gdyby nie jej praca, stanęłaby w obecnych czasach wszelka wytwórczość.

Raz zdobyte stanowisko nie da się zakwestjonować w chwili, gdy burza dziejowa się uspokoi, fale powrócą do brzegów i życie popłynie zwykłem korytem. I chociaż pierwszem naszem żądaniem będzie przywrócenie praw, chroniących kobietę, jako istotę fizycznie słabszą, matkę i wychowczynię młodego pokolenia, na wszystkich polach pracy jednakże kobieta utrzyma zdobytą pozycyę. Wielki wzrost pracy kobiet z konieczności musi pociągnąć za sobą podniesienie się jej stanowiska społecznego. Dlatego stoimy w obliczu *pełnego równouprawnienia płci żeńskiej.*

TREŚĆ NUMERU:

OGŁOSZENIA.

Redaktorka i Wydawczyni: **Zofia Seidlerowa.** Druk J. Świętoński i S-ka, Warszawa, Kopernika 34.

Za pozwoleniem cenzury niemieckiej.

Życie i śmierć włosów.

(DOKOŃCZENIE).

Znamy już przyczyny wypadania włosów. Teraz zachodzi pytanie — czy włosy mogą odrosnąć na łysej czaszce? Według szumnych ogłoszeń rozmaitych „siejbowłosów“—nic łatwiejszego, ale zobaczmy, co o tem mówi medycyna.

Lekarz powie, że trzeba wytępić mikroby i przywrócić chorym brodawkom siły i zdrowie. Zgoda. Ale czy to rzecz łatwa dostać się do tych mikrobów, co się gnieżdżą w głębi studni? Można wylać na nagą czaszkę garniec sublimatu lub innych środków zabójczych, ale płyn nie dojdzie do brodawki, choćby dlatego, że studnia zajęta jest przez marny puszek i broniona przez tłuszcz ochronny.

Co w takim razie warte są środki, zalecane przez lekarzy? Tu należy wziąć pod uwagę, że lekarze przepisują środki do mycia głowy wtedy tylko, jeżeli się zasięga porady w samych początkach choroby, gdy brodawki są jeszcze zdolne do odzyskania zdrowia.

Zresztą, te środki lecznicze mają tylko na celu pobudzenie krążenia krwi w skórze, obfitsze dostarczenie krwi brodawkom, ulepszenie ich pożywienia. A przedewszystkiem trzeba zmienić skład krwi zepsutej. Należy tedy zmienić tryb życia, mniej jadać, używać dużo ruchu, aby trujące pierwiastki we krwi prędzej podlegały spalaniu się.

Można powiedzieć, że lekarz nie bardzo wierzy w cudowne zalety środków przeciwko łysinie, gdyż wie, że płyn zabójczy dla mikrobów nie dochodzi do chorych i zarażonych brodawek. Jest to to samo, co chcieć zniszczyć kępki włosów, jakie niedyskretnie mącą harmonię warg lub podbródka u niektórych kobiet. Środków na wytępienie niepożądanego uwłosienia, pod postacią rozmaitych maści, znajduje się na tysiące, ale w rzeczywistości wcale pomódz one nie mogą, gdyż palące i zjadliwe smarowidła nie dochodzą do brodawek, które są jedyną przyczyną złego.

Zobaczmy, jak w takich wypadkach radzi sobie nauka lekarska. Lekarz wyrywa wszystkie włosy po jednym a następnie igłą, zmaczaną w płynie palącym, lub połączoną z baterya elektryczną, wypala brodawki włosowe, ukryte w głębi torebki; zniszczone brodawki przestają wydawać komórki. Ten sam skutek można osiągnąć zastosowaniem promieni Roentgena, które posiadają własność przenikania skóry i zabijania brodawek.

Musimy teraz coś powiedzieć o farbowaniu włosów. Jest ono stare jak świat i stosowane nietylko przez kobiety, lecz także i przez mężczyzn.

Chińczycy, obdarzeni włosami czarnymi, tak mężczyźni, jak kobiety, piją co rano po pełnej filiżance płynu żelazistego i używają do głowy pomad i wody o wstrętnej woni.

Kobiety Haoassa i murzynki z Abeokuty odbarwiają włosy wapnem, które nadaje im kolor rudo-czerwony. Persowie farbują sobie co tydzień włosy i brody rodzajem pudru, złożonego z farby mineralnej i indygo. W Rzymie starożytnym elegantki malowały włosy na żółto za pomocą mydła gallijskiego i posypywały je ochrą, mężczyźni zaś, za przykładem cesarza Kommodusa, używali pudru złotego, od którego włosy nabierały oślepiającego połysku. Przy wyrobie farb posiłkowano się głównie sokami rozmaitych roślin; używano także przetworów octowych.

Zwyczaj farbowania włosów przetrwał wieki średnie i trwa dotąd. Naturalnie teraz wzięto do pomocy chemię, i dziś większa część farb do włosów wychodzi z pracowni i fabryk chemicznych.

Wszystkie prawie te farby zawierają substancye silnie trujące: potaż żrący, merkuryusz, arszenik, sole ołowiane. kwas saletrzany, kwas siarczany i t. p., to też używanie ich nie przechodzi bezkarnie. Wyobraźmy sobie, że ktoś ma na głowie małą rankę, proste draśnięcie szczotką lub grzebieniem; wtedy pierwiastki trujące farby dostają się do krwi.

Kroniki lekarskie obfitują w tysiące wypadków róży, wrzodów złośliwych, zatrucia ołowiem i innych zakażeń i zatruć, które były następstwem użycia farb.

Zdarzają się nawet wypadki śmierci. Kilkanaście lat temu dr. Laborde opowiedział w Towarzystwie biologicznem w Paryżu ciekawą historyę pewnej damy, która coraz bardziej chudła i słabła. Lekarze przypuszczali najrozmaitsze choroby: migrenę, dyspepsyę, rozstrój nerwowy. Bardziej przewidujący od kolegów dr. Laborde poznał, że przyczyną choroby było zatrucie farbą do włosów, jakiej chora używała. Farba zawierała rodzaj benzyny, znanej w chemii pod nazwą *para phenylenodiamina*. Dziesięć centygramów tej substancyi wystarczyło do zabicia dużego psa, który skończył życie w konwulsyach i śpiączce.

Ale napróżno lekarze wszystkich czasów powstawali przeciwko używaniu farb tak niebezpiecznych i szkodliwych dla zdrowia, i napróżno Ojcowie kościoła ganili zwyczaj, który „zmienia przyrodzony wygląd człowieka i stwarza choroby“.

Trzeba zawsze wystrzegać się kłamliwych obietnic i unikać złego, zapobiegając mu wcześnie. Do hygieny włosów można doskonale zastosować przysłowie łacińskie: „*Obsta principiis!*“— Nie należy lekceważyć początków!



Szk. 1. Szk. 3. Szk. 2.



№ 1. Suknia z podwójną spódnicą, przybrana haftem. (Szkic 1). Forma na zamówienie w adm. Bluszczu.

№ 2. Bluzka z przybraniem z koronki i spódnica z jedwabnej materyi. (Szk. 2). Forma na zam. w adm. Bluszczu.

№ 3. Suknia z oryginalnym paskiem, przybrana haftem maszynowym. (Szk. 3). Forma na zam. w adm. Bluszczu.

Wzory Ubiorów i Robót
do № 36.

№ 1. **Suknia z podwójną spódnicą, przybrana haftem.** (Szkic 1). Forma na zamówienie w adm. Bluszczu.



№ 4. **Sukienka w formie bluzy z dwóch materyałów.** (Szkic 4). Forma na zamówienie w admin. Bluszczu.

Skromną suknię z lekkiej jasnej materyi zdobi haft i mereszka. Haft przybiera gładki przód bluzki i nacięte od boków części, tworzące pasek modnie zachodzący na spódnicę. Motyw z haftu zdobi w dole na przodzie spodnią, dość długą i wązką spódnicę, zakończoną obrębem z mereszką — i przybiera tunikę, rozchyloną na przodzie. Rękawy w dole przybrane również haftem. Wycięcie szyi zmarszczone i ujęte we wstążkę może być wykończone kołnierzykiem.

Potrzeba: $5^1/_2$ metra mat. 100 cent. szerokości.

№ 2. **Bluzka z przybraniem z koronki i spódnica z jedwabnej materyi.** (Szkic 2). Forma na zamów. w admin. Bluszczu.

Zręczna, pełna wdzięku całość składa się z bluzki z granatowej gazy na podszewce z białej lub różowej podszewki, pokrytej koronką, naszytą w formie staniczka i ze spódnicy z granatowej jedwabnej materyi, której fałdy są pozornie przedłużeniem fałdek na bluzce z gazy. Te zakładki są lekko zaprasowane i przytrzymane dwiema pliskami, przybranemi guziczkami. Takież pliski powtarzają się na kielichowatych mankietach, podłożonych koronką. Koronka również zdobi wyłożony kołnierz, pokrywający z tyłu zapięcie bluzki.

Potrzeba na bluzkę: $1^3/_4$ metra materyału 100 cent. szerokości, 1.15 metra koronki 23 cent. szerokości, 2 metry koronki 10 cent. szerokości; na spódnicę: $2^1/_4$ metra mat. 100 cent. szer.



№ 5. **Szlafrok z dużym kołnierzem, przybrany aksamitką.** (Szkic 5). Forma na zamówienie w admin. Bluszczu.

№ 6. **Ubranie z kurtką dla chłopca od 11—13 lat.** (Szkic 6). Forma na zamówienie w adm. Bluszczu.

Przez krój i umiejętne zestawienie z wielu części ubranie to nadaje się doskonale do przeróbek np. z męskiego ubrania lub palta. Przód kurtki zapięty na dwa rzędy guzików opatrzony jest dwiema kieszeniami na dole i jedną kieszonką w górze. Przez patki przewleczony pasek pokrywa szwy. Szew na plecach pokryty jest złożoną do siebie fałdą. Rękawy zakończone wyłożeniem. Kołnierz skrajany z wyłogami. Krótkie majteczki, opatrzone guziczkami, przyszyte są do staniczka z podszewki, pokrytego w górze rypsowym wkładem.

Potrzeba: 1.95 metra materyału 130 cent. szerokości.



№ 6. **Ubranie z kurtką dla chłopca od 11—13 lat.** (Szkic 6). Forma na zamówienie w admin. Bluszczu.

№ 7. **Sukienka prostym krojem dla dziewczynki od 5—7 lat.** Forma na zamówienie w admin. Bluszczu.

Biały rypsowy kołnierz z ponsową krawatką i szlaki z materyału zdobią sukienkę z materyału granatowego w białe kropki. Z tych ostatnich sporządzona jest patka w rodzaju paska, przytrzymująca przód sukienki w stanie oraz odstające kieszonki, przyszyte do przymarszczonych boków. Z przodu i z tyłu spódniczka ułożona jest w fałdy. Bluzeczka pod kołnierzykiem zmarszczona, rękawki zakończone mankietami.

Potrzeba: $2^1/_4$ metra materyału 78 cent. szerokości.

№ 8. **Staniczek przybrany walansjenką i przewleczeniem ze wstążki.** Forma na zamów. w admin. Bluszczu.

Strojny staniczek z batystu wykończony jest z zapięciem z tyłu. Wstążka przewleczona między walansjenkami dopełnia przybrania.

№ 9. **Bluzka przybrana koronkową wstawką.** Forma na zamówienie w administracyi Bluszczu.

Bluzka z różowego crêpe de Chine'u ozdobiona jest koronkową wstawką, która przerywa fałdy przodu i plecy w połowie, a z przodu ciągnie się do ramion. Przód bluzki, mankiety i kołnierz z wyłogami zakończone mereszką. Wstawka powtarza się z tyłu ufałdowanego kołnierza i na mankietach.

Potrzeba: $1^1/_2$ metra materyału 110 cent. szerokości, 3 metry wstawki 3 cent. szerokości.

№ 3. **Suknia z oryginalnym paskiem, przybrana haftem maszynowym.** (Szkic 3). Forma na zamów. w adm. Bluszczu.

Haft maszynowy w szaro-srebrnym kolorze zdobi gładką bluzkę z granatowego crêpe de Chine'u. Przybiera przy gładkiej bluzeczce wycięcie szyi, górną, nałożoną w rodzaju kimona część rękawów i mankiety w rodzaju falbanek. Oryginalnie w zęby nacięty pas, przybrany również haftem, schodzi nizko na spódnicę, lekko przymarszczoną w pasie. Kołnierz nacięty w zęby, wyłożony tylko z tyłu, przybrany haftem, przytrzymany jest na ramionach okrągłemi guziczkami.

Potrzeba: $4^1/_2$ metry materyału 105 cent. szerokości.



№ 7. **Sukienka prostym krojem dla dziewczynki od 5—7 lat.** Forma na zamówienie w adm. Bluszczu.



№ 8. **Staniczek przybrany walansjenką i przewleczeniem ze wstążki.** Forma na zamówienie w adm. Bluszczu.

№ 4. **Sukienka w formie bluzy z dwóch materyałów.** (Szkic 4). Forma na zam. w adm. Bluszczu.

Forma zręcznej sukienki z materyału gładkiego i z materyału w pasy doskonale nadaje się do przeróbek. Materyał w pasy, poprzecznie skrajany, tworzy przód sukienki, w górze przybrany patką z gładkiego materyału z guziczkami, obręb w dole i patki przy mankietach. Sukienka pod paskiem ułożona w fałdki. Pasek w rodzaju patek zachodzi do przodu i przytrzymany jest guziczkami.

Potrzeba: $1^2/_3$ metra gładkiego materyału, $^2/_3$ metra materyału w pasy po 100 cent. szerokości.

№ 10. **Bluzka z kamizelką.** (Szkic 10). Forma na zamówienie w admin. Bluszczu.

Bluzkę z ciemnej lub z czarnej tafty czy innej materyi ślicznie dopełniają: kamizelka, kołnierz, wyłogi i mankiety z materyi białej. Bluzka z tyłu i na bokach do pasa, przody ma znacznie dłuższe, złożone w szeroką kontrafałdę. Na ramionach zmarszczona układa się luźno i bardzo swobodnie. Rękaw dość szeroki koszulowy, spięty mankietem i zakończony małym, odwiniętym mankietem z białej materyi.

Potrzeba: $1^3/_4$ metra materyi 100 cent. szerokości, 1 metr białej materyi 50 cent. szerokości.



№ 9. **Bluzka przybrana koronkową wstawką.** Forma na zamówienie w admin. Bluszczu.

№ 5. **Szlafrok z dużym kołnierzem, przybrany aksamitką.** (Szkic 5). Forma na zam. w adm. Bluszczu.

Czarna aksamitka zdobi skromny szlafrok z materyi czarnej w białe kropki. Szlafrok, opatrzony z przodu kieszeniami, zmarszczony jest pod paskiem, a z tyłu ułożony w dwie fałdy. U góry wmarszczenie wszyte w karczek, pokryty szerokim szalowym kołnierzem, który dochodzi aż do paska.

Potrzeba: $5^1/_4$ metra materyału 80 cent. szer.



Szk. 5.



Szk. 4.



Szk. 6.

№ 11. **Kostyum jesienny z lekko wciętym paltocikiem.** (Szkic 11). Forma na zamów. w adm. Bluszczu.

Kostyum z pledowego, dość ciężkiego materyału, składa się ze spódnicy na bokach złożonej w parę głębokich fałd i z dość długiego paltocika, którego przybranie stanowią tylko stebnówka i guziki. Środek pleców i przodów nastebnowane na wierzch, tworzą rodzaj ornacika. Przy przodach razem skrojone patki, zastępują pasek i przytrzymują boczne ufałdowanie paltocika. Na baskinie duże kieszenie, zapięte na guziki. Wysoki kołnierz, zapięty na trzy guziczki, dopełniony małym wykładanym.

Potrzeba: 5 metrów materyału podwójnej szerokości, $5^1/_2$ metra podszewki 60 centimetrów szerokości.

№ 12. **Kostyum jesienny dla młodej panienki.** (Szkic 12). Forma na zam. w adm. Bluszczu.

Spódnica złożona z przodu w kontrafałdę. Paltocik luźny, obcięty rozszerzonym na bokach paskiem. Duży kołnierz, łączący się z wyłogami może być zapięty pod szyję. Rękawy paltotowe z mankietem. Paltocik na podszewce.

Potrzeba: 3³/₄ metra materyału podwójnej szerokości, 3¹/₄ metra materyału na podszewkę.

SENSACYJNY WYNALAZEK W DZIEDZINIE ODZIEŻY.

W fachowych dziennikach niemieckich (np. „Der Konfektionär") podał świeżo tajny radca dr. Beutler, naczelnik państwowego urzędu niemieckiego dla spraw odzieżowych (Reichskommissar für das Bekleidungswesen) cały szereg szczegółów odnoszących się do jakiegoś nowego niemieckiego wynalazku, mającego umożliwić wytwarzanie „sztucznej bawełny" i „sztucznej wełny". Z wyjaśnień jego wynika, że chodzi o jakiś ulepszony bardzo znacznie proceder, mogący umożliwić przerabianie włókien cellulozy na tkaniny, stanowiące surogat materyałów na ubrania oraz bieliznę. Zdaniem jego — a z tytułu swojego stanowiska powinien znać sprawę dobrze — już w najbliższych tygodniach zostaną wypuszczone na targ pierwsze materyały, sporządzone z cellulozy, a odpowiadające wszelkim wymaganiom, którym dotychczasowe surogaty materjałów ani w przybliżeniu nie czyniły zadość. Niema też wobec tego żadnej potrzeby, twierdzi on, aby



№ 10. **Bluzka z kamizelką.** (Szkic 10). Forma na zamówienie w admin. Bluszczu.

przystępować w Niemczech do dalszych rekwizycyi znoszonych ubrań, gdyż materyał nowy w miarę jak się będzie pojawiał na targu, zaradzi wszelkim brakom. Jeszcze w ciągu obecnego roku kalendarzowego (1918) zostanie wyprodukowana tak znaczna jego ilość (kilka a może nawet kilkanaście milionów metrów) iż da się to w Niemczech odczuć jako ulga stosunków odzieżowych. Nowy materyał nadaje się zarówno na produkcyę odzieży wierzchniej, jak i bielizny, z jednym może wyjątkiem dla niemowląt.

Także i po wojnie produkcya nowego materyału nie zostanie zaniechaną, zwłaszcza gdyby przedłużyła się wojna gospodarcza. Koszta jego sporządzenia są stosunkowo nie wysokie, to też i ceny będą tanie. Obecnie przygotowuje się na wielką skalę maszyny i chemikalja, potrzebne dla tej produkcyi, tak, że jest nadzieja, iż w przyszłym roku produkcya będzie mogła przybrać wprost olbrzymie rozmiary.

Dr. Beutler zaznacza wreszcie, że komunikat ten podaje do wiadomości z upoważnienia wojennego urzędu dla materjałów surowych (Kriegs-Rohstoff-Abtheilung), za którego wiedzą objechał również ważniejsze centra przemysłu i handlu (Berlin, Hamburg, Düsseldorf, Drezno, Fryburg i Lipsk), informując koła interesowane bliżej o szczegółach całej sprawy.

Redakcya „Konfektionär'a" przyznaje doniosłość tego wynalazku, o ile oczywiście zapowiedzi się sprawdzą. Zaznacza jednak, że ponieważ z 1,000,000 metrów można sporządzić ubranie tylko dla 300,000 ludzi, a głód odzieży i bielizny jest w Niemczech niesłychany, przeto potrzeba będzie co miesiąc kilkunastu milionów nowego materyału, aby głód zaspokoić. Dodaje też ważną wiadomość, że dotychczasowa kalkulacja, odnośnie do nowego materyału, pozwala przypuszczać, że ceny będą istotnie niskie. Metr materyału na męskie ubranie „nie pozostawiającego nic do życzenia", jak się wyraża organ w tym kierunku fachowy, będzie kosztował 14 mk.

Niepodobna oczywiście w tej chwili orzec, ile w tych sensacyinych wiadomościach kryje się chęci dodania otuchy ludności niemieckiej, a ile rzeczywiście prawdy. W każdym razie wątpić należy, aby rząd niemiecki angażował tajnego radcę Beutlera oraz podlegający mu urząd państwowy w jakiejś akcji, któraby w tak krótkim już terminie okazała się humbugiem i której fiasko wywołałoby jeszcze większe rozdrażnienie. Dlatego nawet przy największym sceptycyzmie trzeba przypuścić, że w tych optymistycznych zapowiedziach musi być spory procent realnej prawdy.

A jeśli tak jest, nasuwa się pytanie, czy Austro-Węgry zostaną dopuszczone przez swego sprzymierzeńca do korzystania z tajemniczego a tak doniosłego wynalazku i czy nie będą skazane na to, aby jego ludność musiała opłacać Rzeszy niemieckiej nowy wysoki haracz z tego tytułu, sprowadzając stamtąd nowy materyał, po jakiejś wygórowanej cenie.



№ 11. **Kostyum jesienny z lekko wciętym paltocikiem.** (Szkic 11). Forma na zam. w adm. Bluszczu.



Szk. 10.



Szk. 11.



Szk. 12.



№ 12. **Kostyum jesienny dla młodej panienki.** (Szkic 12). Forma na zam. w adm. Bluszczu.

To samo pytanie odnosi się oczywiście i do Królestwa.

Poczynienie zawczasu kroków pod tym względem, choćby tylko dla zebrania autentycznych informacji, byłoby bardzo wskazane dla wszystkich trzech administracyjnych urzędów, zajmujących się kwestyą odzieży w Wiedniu, Budapeszcie i Warszawie.

PRZEPISY KUCHENNE.

Gołębie (dla mieszkanek wsi).

Gołębie szpikowane. Gołębie oczyścić jak zwykle, poczem wyjąwszy wnętrzności, wymyć w zimnej wodzie.

Następnie naszpikować gołębie dosyć gęsto świeżą słoninką na piersiach i udach, a w końcu osolić i wstawić do pieca, na mniej więcej pół godziny czasu

Wydając na stół—półmisek na brzegu przybrać sałatą lub wreszcie czem innem, stosownie do gustu.

Gołębie w liściach winogronowych. Zamiast szpikowania można gołębie owinąć plastrami świeżej słoniny, a na słoninę obłożyć wokoło całego gołębia świeżemi liśćmi winogronowemi. Liście na ten cel powinny być duże oraz poprzednio dobrze wypłókane i na sicie wysuszone. Liście te muszą być zerwane z krzewu wina jadalnego, a nie dzikiego. Słonina powinna pokrywać całego gołębia, jak niemniej i liście.

Gołębie po upieczeniu podaje się na stół ułożone na półmisku razem ze słoniną i liśćmi.

Wyborna potrawka z gołębi. Młode, tłuste, ładne gołębie oczyścić, jak zwykle, wyjąć wnętrzności i wymyć je czysto w zimnej wodzie a potem pokrajać na ćwiartki. Włożyć w rondel łyżkę młodego masła i dusić w niem na wolnym ogniu.

Kiedy gołębie są już miękkie — wyjąć je, a w tem maśle usmażyć kilka cebul poprzednio sparzonych ukropem i pokrajanych na plasterki. gdy cebule są już usmażone—podlać je smakiem z włoszczyzny, buljonem, wkrajać kilka jabłek o smaku winkowatym oraz kilka pieczarek i to wszystko razem zamieszawszy, zagotować.

Następnie zasmażyć łyżkę masła na rumiano z łyżką mąki i rozprowadzić powyższym sosem a gołębie umoczyć w świeżej kwaśnej śmietanie i włożyć je w ten sos. Sos ponownie zagotować, ażeby gołębie rozgrzały się dostatecznie, poczem wydać na stół.

Gołębie à la kwiczoły. Gołębie jak zwykle oczyścić, wyjąć wnętrzności i wymyć w zimnej wodzie.

Potem każdego gołębia wytrzeć dokładnie wewnątrz i zewnątrz tłuczonym jałowcem a następnie nasypać wewnątrz zupełnie pełno tłuczonego jałowcu oraz na wierzchu wokoło obsypać nim przynajmniej na palec grubo i tak pokryte całe gołębie jałowcem trzymać przez trzy dni w chłodnem miejscu. Po upływie tego czasu oczyścić gołębie z jałowcu i wytrzeć je dokładnie grubem płótnem a następnie nasolić i obłożywszy plastrami świeżej słoniny, piec, dopóki się ładnie nie zrumienią.

Przed wstawieniem do pieczenia—włożyć do środka każdego gołębia po kilka całych ziarnek jałowcu, z którym podaje się na stół.

Gołębie z ostrym sosem. Wyłożyć rondel plasterkami słoniny i włoszczyzną oraz listkami bobkowymi, angielskiem zielem, dodać jeszcze kilka goździków i trochę skórki cytrynowej pokrajanej.

Gołębie przyrządzone jak zwykle do pieczenia włożyć w to wszystko w rondel i dusić je pod pokrywką do miękkości.

Ogólne uwagi o gołębiach. Chcąc mieć białe mięso z gołębi, trzeba, hodując je, zwracać uwagę, ażeby w całym gołębniku nie było ani jednego gołębia z szarem opierzeniem, tylko jedynie same białe; bowiem z czarnych i szarych bywa mięso zazwyczaj ciemne, co nie jest bynajmniej apetycznem, a z białych zaś zawsze jest białe.

Ażeby mieć mięso gołębie smaczne, trzeba, aby te gołębie były koniecznie pełne i posiadały w sobie spory zapas tłuszczu, jak i wszelkie inne dwu- i czworonożne stworzenia.

Chcąc mieć gołębie tłuste, należy pamiętać o nich i obchodzić się z niemi troskliwie, a mianowicie sypać pod gołębnikiem rozmaite ziarna, a zwłaszcza groch, który bardzo lubią i tuczą się od niego, jak również trzeba im stawiać w korytkach codziennie świeżą wodę obficie, gdyż wprawdzie starsze gołębie zaradzą sobie i znajdą w dość znacznej nawet odległości czy to jakiś rów, czy sadzawkę, ale matki-gołębice, noszące we własnych dziobkach wodę swoim pisklętom zdala, mają wielką trudność w dostarczaniu tym maleństwom dostatecznej ilości, tak, ażeby ugasić ich pragnienie, które, jak dla ludzi tak również i dla zwierząt, o ile nie jest zaspokojone —



№ 13. **Poduszka z grubego płótna, odpowiednia do męskiego gabinetu, pokryta wzorzystym kolorowym haftem, wykonanym wełną lub bawełną.**
Wzór na zamów. w adm. Bluszczu.

nie sprzyja prawidłowemu rozwojowi fizycznemu.

Następnie trzeba dbać o czystość w gniazdach w gołębniku, bowiem skutkiem nagromadzonych nieczystości wytwarza się złe powietrze, a to jest niewątpliwie szkodliwe dla wszelkich żyjących stworzeń.

A obecnie, przy ogólnym braku mięsa, gołębie są niezmiernie pożądane, tembardziej, iż hodowla ich jest tak łatwa; powinnyśmy więc my same zająć się niemi a nie spuszczać się na służbę, która rzadko sumiennie wypełnia podjęte obowiązki. *H. Ch.*

Doskonała, pożywna i tania postna zupa (ilość na 6 osób). Dwie szklanki surowej fasoli wypłókać i namoczyć na noc—poczem raz jeszcze wypłukać i gotować w takiej ilości wody, jaka jest potrzebna na 6 osób. Gdy już fasola zupełnie miękka — dodać do niej 2—3 funty pokrajanych w plasterki, sparzonych kartofli i te razem z fasolą ugotować do zupełnej miękkości. Osobno udusić w rondelku, w krótkim sosie, z łyżką masła różne jarzyny, o które w obecnej porze nietrudno i które nie są teraz drogie— a więc pokrajaną marchew, kalarepkę, zieloną i żółtą fasolkę, włoską kapustę, kalafiorek i t. p. Na miękko uduszone jarzyny zmieszać z kartoflami i fasolą. Trochę masła zrumienić, o ile kto lubi—z cebulą cienko pokrajaną i wlać do zupy.

Można podać do zupy tej grzanki z chleba, bardzo cieniutko krajanego i leciuchno oblanego masłem. Chleb może być kartkowy.

Bardzo smaczna, posilna zupa.

ODPOWIEDZI
Z DZIEDZINY LECZNICZEJ KOSMETYKI.

Pani Irenie Boj. z Siedleckiego. Taki upadek włosów ma swoją przyczynę. Czy Sz. Pani ma tłuste, lepkie, czy nie tworzy się na skórze *płaski* swędzący łupież, zwłaszcza z tyłu głowy i czy włosy nie rozdwajają się na końcach, co dowodziłoby obecności pewnego grzybka? Proszę uprzejmie o te wiadomości i przysłanie mi przez okazyę zlecenia abym Sz. Pani przysłała właściwe środki, o ile by Pani nie mogła być u mnie osobiście. Może się Sz. Pani wyleczyć zupełnie, ale trzeba zastosować kuracyę, która w tej chwili nie mając danych nie może być wystarczająca.

Niewiernej Karewis. Jeśli Sz. Pani nie może się leczyć przed rokiem, na czerwoność nosa, twarzy i t. p... niech Sz. Pani się tem nie przejmuje. Kuracya będzie również skuteczna i po roku, tylko może trwać trochę dłużej —o koszcie pisać nie mogę, gdyż nie wiem, co Pani będzie potrzeba stosować, ale zazwyczaj jestem względną i osoby pracujące mają inne ceny. Radziłabym tymczasem stosowanie jakiego kremu udelikatniającego, żeby bezpośrednio nie narażać twarzy na działanie zmian atmosferycznych, zwłaszcza szkodzi takiej skórze zimno, trzeba twarz zabezpieczyć — mleczkiem lanolinowem i dobrym, czystym pudrem.

P. Ali. F. z Galicyi. O piegach już wiele pisałam, zaliczając je do wad cery nieuleczalnych, jednakże pod działaniem niektórych maści schodzą zupełnie na pewien okres czasu. Później, gdy się zjawią, nanowo znów należy maść stosować. Zasadniczym środkiem w maści na piegi jest rtęć (hydrargiri); po tej maści piegi najlepiej giną—mam doskonałą, ale jej przesłać Sz. Pani nie mogę. Zapewne, że i w miejscu Pani zamieszkania są lekarze, którzy podobną maść Sz. Pani zapiszą. Trzeba skórę obejrzeć, aby wiedzieć, jaką maść zastosować, są bowiem słabsze i silniejsze.

Żółte plamy, czyli pigmenty, również po tejże maści złuszczyć się mogą.

„Zbolałej Krysi“... Nic dziwnego, że stosowanie przez Sz. Panią przytoczonych środków nic Pani po półtora roku nie pomogło. Widzę z opisu, że ma Sz. Pani silny łojotok skóry i to w trzeciej fazie, t. j. zaognione krosty, napełnione materyą, czyli trądzik *acue.*

Mogłabym Panią wyleczyć zupełnie, gdyż jedynie moja metoda leczy najbardziej długotrwałe seborree radykalnie. Może z Kielc będzie Sz. Pani mogła przyjechać choć na 3 tygodnie do mnie, aby odbyć właściwą kuracyę. Tłuste kremy i mydła, te jedynie zaszkodzić mogą — nie można na tłuszcz stosować tłuszczu. Jeśli już Sz. Pani nie będzie mogła leczyć się na miejscu inaczej, to radziłabym przysłać do mnie po 2 środki: mianowicie jeden płyn na noc, za podstawę ma siarkę, długi „Tonic blanc“, odtłuszczający i wybielający skórę, do mycia przed użyciem wody chłodnej przegotowanej. Włosy również Sz. Pani wychodzą z powodu „Seborrei“, gdyż twarz i skóra głowy mają ten sam gatunek skóry, czyli hyperprodukcyę tłuszczu w gruczołach łojowych. To również leczyć trzeba odpowiedniem myciem i wzmacniać środkiem zwanym „Trychogen“.

Na rozwinięcie biustu radzę gimnastykę i polewanie zimną wodą z solą.

P. K. R. Galicya, Jasło, wieś Sowina, p. Kołaczyce. Przepraszam za opóźnienie w odpowiedzi, spowodowane moim wyjazdem na odpoczynek. List się zarzucił w domu i z tego powodu dopiero teraz odpisać Sz. Pani mogę.

Te białe groszki na twarzy, nie tworzą się z wągrów, ale są spowodowano zatkaniem gruczoła łojowego, jest to „proso“ czyli „Milium“. Usunąć się nie daje inaczej tylko mechanicznie. Trzeba cienką igłę, specjalnie do tego celu służącą, wygotować, przerwać naskórek i wyłuszczyć groszek łyżeczką, taką jak do węgrów.

Ja również proso wypalam za pomocą prądu elektrycznego, ale to zabieg bolący, i mniej bolesną jest w danym razie pierwsza operacya.

Co się zaś tyczy maści na piegi dla siostry Sz. Pani, nic pocztą przesłać nie mogę, może przez okazyę. Maść jest doskonała i chociaż piegi są nieuleczalne i zazwyczaj wracają pod działaniem wpływów atmosferycznych, jednakże trzeba je chociażby usuwać paljatywnie za pomocą maści, gdyż nieleczone wcale, na większej przestrzeni i w większej się ukazują ilości.

Dr-owa J. Sadowska.

DROBIAZGI.

Suknie będą dłuższe. Jak donoszą najnowsze francuskie żurnale mód, spódniczki na jesień mają być dłuższe. Przepowiadano fakt ten, co prawda, oddawna, tymczasem działo się wręcz odmiennie i dopiero teraz daje się zauważyć, że wskutek coraz większej obcisłości zyskają suknie na długości. Wyrównanie to jest konieczne dla zachowania pięknej linii: przez dłuższą spódniczkę sylwetka kobiety wydaje się smuklejszą, podobną do „figurynek“ roku 1913. Stan przedłuża się również, spódnica jest często układana w kilka „pięter“; kieszenie opuszczają się niżej.